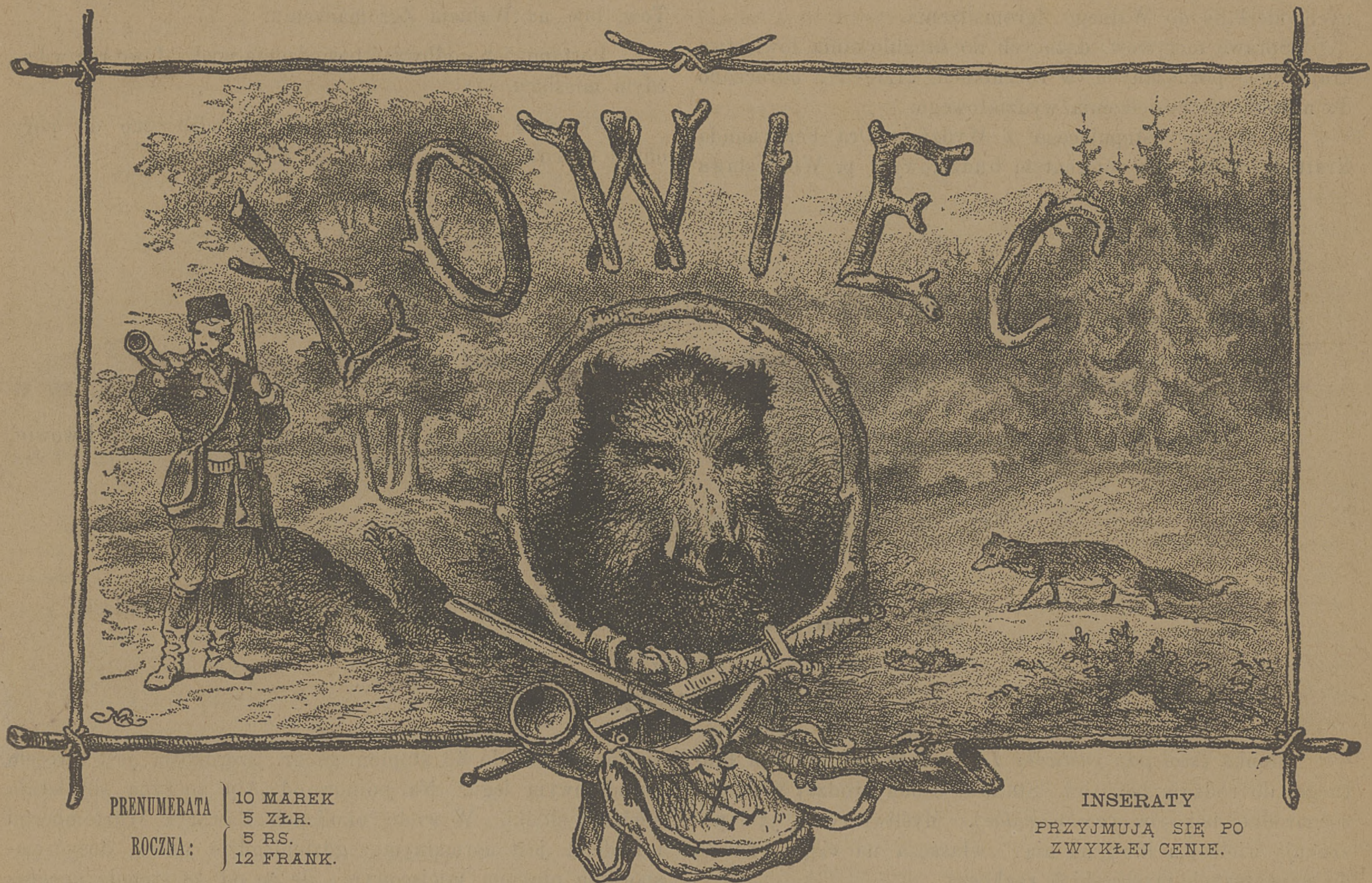
Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1881. Rok IV.




PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

# Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Dnia 23 Lutego zebrał się Wydział Tow. łow. na swe zwyczajne posiedzenie. Przewodniczył Exc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki. Obecni: Dr. Gnoiński Michał wiceprezes Tow. łow.; członkowie: Fredro Edward hr., Łoziński Józef, Rieger Władysław, Sapieha Władysław książe, Zontak Władysław.

Przewodniczący odczytuje pismo, w którem Dr Ferdynand Kratter rezygnuje z godności członka Wydziału. Rezygnacyę przyjęto do wiadomości, i odesłano wybór nowego członka do Walnego Zgromadzenia.

Komitet c. k. Towarzystwa gospodarskiego gal. wzywa Towarzystwo łow. do wzięcia udziału przez delegata w obradach swego Walnego Zgromadzenia. Mianowano delegatem księcia Władysława Sapiehę.

Tenże Komitet Tow. gosp. uprasza Wydział Tow. łow., by prośbę jego wniesioną w skutek nalegań Oddziałów Tow. gosp. Łańcucko-Jarosławskiego i innych do c. k. Namiestnictwa, dotyczącą szybkiego i surowego wymiaru kary na przestępstwa kłusownicze, jak najusilniej poparł. Postanowiono wnieść w tej sprawie umotywowaną prośbę do c. k. Namiestnictwa, i oddano redakcyę jej p. Łozińskiemu, a aprobatę Drowi M. Gnoińskiemu i ks. Wł. Sapieże.

Towarzystwo rybackie w Krakowie w odpowiedzi na wezwanie zawiązania ścisłego stosunku z Towarzystwem łow. wymieniając punkta styczne obu Towarzystw, i wykazując, o ile Towarzystwo łow. sprawę rybołowstwa krajowego popréćby mogło, uprasza, by Towarzystwo łowieckie zarządziło tępienie szkodliwych zwierząt rybożernych, jakoteż „o wniesienie podania do Wysokiego Koła polskiego w Wiedniu, aby ono raczyło wpłynąć na wydanie zupełnego prawa rybackiego, i aby na przyszłej kadencyi sejmowej ustawa rybacka nie spadła znowu z porządku dziennego na wielką niekorzyść kraju“. — Sprawę tę oddano Drowi M. Gnoińskiemu i ks. Wł. Sapieże do załatwienia i zdania sprawy na następnem posiedzeniu wydziałowem.

Uchwalono rychłe rozesłanie kart legitymacyjnych, jako dowodu przynależności do Towarzystwa łowieckiego, członkom tegoż Towarzystwa, którzy wkładkę roczną wpłacili. Karty takie służyć będą tylko na rok jeden, jedynie dla wymienionego członka, a na odwrotnej stronie zawierać będą kalendarzyk myśliwski i ustępy z Statutu.

Komitet mającej być urządzoną w lecie b. r. wystawy łowieckiej i ogrodniczej w Cleve (Prusy reńskie), prosi o przesłanie mu listy członków naszego Towarzystwa w celu szczegółowego poinformowania ich o tej wystawie. Polecono Sekretarzowi Towarz. łow. przesłanie owej listy i pośredniczenie między Komitetem wystawowym a naszymi członkami.

Sprawę wynagrodzenia szkód przez zwierzynę zrządzonych odesłano do Walnego Zgromadzenia.

Sprawę motywów, dążących do uregulowania łowiectwa krajowego, poruszanych w rocznikach „Łowca", odroczono do następnego posiedzenia wydziałowego.

W miejsce ustępującego z Wydziału Dra Ferdynanda Krattera mianowano referentem budżetowym p. Władysława Riegera, któremu polecono zdać sprawę z stanu finansowego Tow. łow. na Walnem Zgromadzeniu.

Postanowiono odbywać posiedzenia wydziałowe raz w każdym miesiącu.

Zwołanie Walnego Zgromadzenia odroczono do pory obrad sejmowych.

## Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego.

Bniński Karol hr.
Chłapowski Dezydery.
Czarnecki Wiktor hr.
Dobrzyński Adolf.
Goławski August.
Homolacz Stanisław.
Karnicki Michał hr.
Komorowski Józef hr.
Kosieradzki Władysław.
Mistecki Albert.
Mycielski Józef hr.
Radoński Zygmunt.
Szymanowski Tomasz.
Towarzystwo myśliwych im. św. Huberta we Lwowie.
Wielopolski Przemysław.

# SŁONKA

PRZEZ

**Barona C. E. Thüngena.**

Słonka *(scolopax rusticola L)* należy do ptactwa błotnego, do rodzaju bekasów. Stanowi osobny rodzaj w familii różnorodnej bekasów *(scolopacidae)*. Myśliwi cenią ją i poszukują wielce, a łowy na nią, zwłaszcza na ciągu, należą do najwyższych myśliwskich rozkoszy.

Nie ma w Europie żadnego ptaka, któryby nawet w przybliżeniu mógł uchodzić za słonkę. Dziób jej prosty, podłużnie okrągły, przeszło 7 cm. długi, przy nasadzie prawie czerwonawy, reszta czarna, głowa mała i wąska. Wielkie czarnobrunatne oczy leżą w tyle blisko siebie. Tylną część głowy przecinają cztery szerokie, czarno-ukośne pasemka. Przód ciała jest kasztanowato-brunatnemi, czarno-siwemi i białemi plamami obrzucony, pierś siwo-czerwonawa z czarniawemi pasmami, szyja i brzuch nieco jaśniejsze, ciemne pióra wierzchnie otoczone białawym rąbkiem. Łapy brunatne, golenie opierzone, ogon czarny. Samce i samice nie odróżniają się w zabarwieniu piór i w nakropieniu. Wielkość taka jak kuropatwy. Co do wielkości, płci nie są do odróżnienia, lubo niektórzy ornitologowie utrzymują, że mniejsze zawsze są samcami, większe samicami. Dokładnie rozróżnić płeć można tylko przy sekcyi, jednak się wykazało, że samce mniejsze zwykle są jak samice.

Często poruszana sprawa, jak wiele jest gatunków słonek, oddawna już stanowczo rozwiązana, że jest tylko jeden, i że tylko wpływy klimatyczne, lepsze lub gorsze pożywienie, różność wieku i miejsca urodzenia wywołują różnicę rozmiarów. A jednak dotąd nie jeden myśliwy innego jest mniemania i uporczywie twierdzi, że są dwa, a nawet trzy gatunki słonek.

Rozróżniają rodzaj mniejszy z wąską główką i ciemnem upierzeniem, i większy z głową grubą, okrągławą, jasnobrunatną i piórami blado naznaczonemi. Trzeci rodzaj rozróżniany przez niektórych myśliwych, jest jeszcze mniejszy, i odznacza się delikatniejszem zabarwieniem pierza.

Słonka rozszerza się w porze letniej w większej części umiarkowanej i zimnej strefy Europy i Azyi. Zdaje się, że w Europie 45 do 46 stopień geogr. szerokości jest kresem południowym lęgu. Na północ od Alp poczyna się letnia siedziba słonki. W wielu okolicach Bawaryi, Würtembergu i Badenu jest normalnym, gdzieniegdzie nawet dosyć pospolitym ptakiem miejscowym, ile że od 48 stopnia geograficznego szerokości lęgnie się w całej Europie, gdziekolwiek tylko rozległe pagórkowate lub górskie lasy znajduje. W środkowych i północnych Niemczech nie brak jej w odpowiednich miejscowościach, mianowicie w niebardzo suchych, rozległych, a zwłaszcza w takich lasach, gdzie mięszany drzewostan z jarami, łąkami i paszą dla bydła się znajduje. Lęgnie się tam co roku w mniejszej lub większej liczbie. W zimie przebywa w południowej części Europy, w Azyi, na wyspach morza śródziemnego i w Afryce. Nie mała ich liczba zimuje też w Anglii, Irlandyi i Szkocyi, mniejsza w Niemczech, są to tak zwane słonki miejscowe, które upędzają się w miejscowościach szczególnie dla nich przyjaznych, w pobliżu cieplic, w zbitych gąszczach, w gęstych jałowcowych krzewach, jednem słowem tam, gdzie śród najsroższej zimy śnieg nie dochodzi.

Słonka jest ptakiem przelotnym, przychodzącym do nas na wiosnę, wnet odlatującym i nawidzającym nas znowu w jesieni w podróży do zimowych siedzib. Porę taką nazywamy ciągiem. Na wiosnę pojawia się tem wcześniej, im rychlej zima ustępuje, częstokroć więc już w Lutym, zwykle jednak w Marcu. Przybywają normalnie z ciepłym wiatrem południowym, południowo-zachodnim lub zachodnim, podczas mglistych, deszczowych nocy, a nagły, ostry północny albo wschodni wiatr czyni przerwę w ciągu, jakoteż burza. Pierwsze słonki nie stanowią jeszcze ciągu, często owych zwiastunów mróz wita i opóźnia właściwy ciąg o 8 do 14 dni. Kto przeto pierwszą słonkę pragnie ubić, niech nie żałuje trudu, nie zraża się bezskutecznem poszukiwaniem, jeżeli tylko przypuszcza, że ją znaleść może. W południowych Niemczech jest drozd spiewak *(turdus musicus)* prawie pewnym zwiastunem słonki. Mlaskacz, gazda szałasny, kopciu-

szek *(ruticila tithys)*, pojawia się zwykle razem ze słonką. Im piękniejsze i cieplejsze są noce, im jaśniejszy księżyc, im później ciąg się rozpoczyna, tem rychlej też się kończy, i trwa w takich warunkach zaledwo trzy tygodnie. Wskazówką zakończenia ciągu na wiosnę jest pojawienie sie gajówki czarnogłówki *(sylvia atricapilla)*, krętogłówki *(Iynx torquilla)*, gdy głóg liście wypuszcza. Przybycie pierwszej jaskółki dymówki *(hirundo rustica)* nie zawsze jest oznaką zakończenia polowania wiosennego na słonki, zjawia się ona bowiem często dopiero wtedy, gdy myśliwy już z dziesięć dni o słonkach nie myśli. Wyjątkowo tylko, w spóźnionej wiośnie, lub gdy w Marcu i początku Kwietnia nagle niezwykłe jawią się ciepła i dłużej trwają, zdarza się, że koniec ciągu słonek styka się z przybyciem jaskółki.

W jesieni przybywa słonka zwykle w końcu Września i w Październiku po pierwszym z płatami śniegowymi zmięszanym deszczu, a ciąg trwa aż do Listopada. Ostatnie bywają bardzo oblane i ciągną wolno. Podczas burzy wypoczywają. Lecą pojedyńczo lub gromadnie zawsze w nocy. W okolicach nawidzanych wiosną przez słonki, można się o tem z łatwością przekanać, słysząc nieustannie śród nocy głos ciągnących słonek. Niekiedy, ale tylko nader wyjątkowo ciągną też śród białego dnia.

Słonka nie jest wcale co do drzewostanu wybredną, i przebywa zwłaszcza podczas ciągu w czysto liściastym lesie, jako też w mięszanym, niemniej także w szpilkowym. Wybredniejszą wszakże jest co do gruntu, na który zapada. Unika zarówno zbyt suchego jakoteż wybitnie mokrego. Najmilszym dla niej jest grunt wilgotny, pokryty humusem, liściami zwiędłymi i suchemi gałęziami, ochroniony krzewami, a szczególnie miejsca równe, wilgotne w lesie, gdzie z łatwością owady z ziemi wydobywać może. W ogólności normą jest, iż słonka na wiosnę zwłaszcza w porze przeważnie suchej szuka bardziej wilgotnych, nisko położonych, w porze dżdżystej wynioślejszych miejsc; w jesieni zaś suchych pagórków i równin, i wtedy też najchętniej przebywa w okolicach górskich. Tym sposobem się zdarza, że w lasach, w których na wiosnę mnóstwo zapadało słonek, w jesieni ich wcale nie było — i przeciwnie. Lecz i w tym względzie w miarę powietrza i innych wpływów wydarzają się nieprawidłowości i zboczenia. Często znaleść można pojedyńcze słonki w ustronnych krzakach polnych, w winnicach, w ogrodach, śród wierzb polnych, w burakach i rzepach, nawet na gołem ściernisku. Jako najulubieńsze miejsca pobytu słonek znane są: wilgotne, nierówne miejsca krzaczyste, dębina z krzewami ciernistymi, młoda zacieniona buczyna, chętnie przebywają też w sośninie, w olszynie, w buczynie mocno liściem pokrytej rzadko się znajdują, tu bowiem trudno im żerować. Dziwne, jak czasem jakaś parcelka lasu, nawet krzaki jakieś, sośnina aż do gruntu porosła gałęziami i t. d. staje się widocznie pożądaną siedzibą dla słonek wypoczywających podczas ciągu. Niejeden myśliwy upatrzył taką miejscowość, w której na wiosnę i w jesieni podczas ciągu na pewne spotyka się z tym ptakiem. Tam też spostrzegano często, że jedna i ta sama słonka, znaczna odrębnem upierzeniem, kilka dni pozostaje, nim dalszą podróż postanowi, co się zdarza zwłaszcza na wiosnę w porze burzliwej.

Pożywieniem słonki są przeważnie robaki, owady, poczwarki i ślimaki, a najulubieńszem dżdżownice. W celu pozyskania go zapuszcza dziób w zwiędły liść, w ziemię a często w gnój zwierzęcy. Żywi się też jagodami a szczególnie borówkami. Zwykle leży za dnia spokojnie, i wychodzi dopiero o zmroku za żerem. Wyjątkowo tylko żeruje śród dnia, dzieje się to najczęściej podczas ciągu wiosennego, gdy przy brzasku porannym i wieczornym bardziej popędowi rozmnażania się oddawają, jak żerowaniu, i z tego powodu za dnia głodu doznają.

Słonka żyje w monogamii. Parzenie odbywa się na wiosnę. W tej porze samiec, podobnie jak głuszec i cietrzew na toku, rozszerza ogon w wachlarz, nadyma się okrążając samicę, spuszcza w dół skrzydła a dziób kładzie na piersi. Im bardziej ku północy, tem później następuje parzenie się. Również wyższe lub niższe położenie lasu wpływa na nie, w okolicach górskich, mających corocznie słonki lęgowe, pojawiają się zwykle o 8 do 14 dni później. jak w sąsiednich miejscowościach równych lub pagórkowatych.

W jaki sposób pary się z sobą łączą, nie ma dotąd pewności. Nowsi ornitologowie utrzymują, że samice zachowują się podczas parzenia więcej biernie i po większej części pozostają na ziemi, dodają następnie, że samica wydaje swój właściwy, cienki głos wabiący, którym gdy popęd płciowy uczuwa, przyzywa przeciągającego samca. W czasie pełnego trwania ciągu, kiedy daje się słyszeć często chrapanie samców, można być pewnym, że zaślubione pary oddają się rozkoszy małżeńskiej, i że samica zabiera się do gnieżdżenia. Przy wyborze miejsca dla lęgu, okazuje słonka upodobanie w lasach mięszanych, liściastych z szpilkowym. Unikając głębokich borów i bagnisk, upatruje najchętniej miejsca dosyć wilgotne, odosobnione zręby, drzewostan łaciasty. Często znajduje się gniazdo w pobliżu opuszczonych lasów i halawek leśnych, do których w zmroku porannym i wieczornym rychło się dostać i gdzie z łatwością zaledwo wylęgłe młode żywić i do samodzielnego żywienia się przyuczać może. Nie kunsztownie wcale zbudowane gniazdo leży w krzaczystem wprawdzie, ale dosyć otwartem miejscu, zwykle u podnóża drzewa liściowego lub szpilkowego. Samica składa w Kwietniu (według innych w Maju), w okolicach południowych w pierwszej, w północnych w drugiej połowie miesiąca, nie więcej jak cztery, rzadko tylko trzy zaokrąglone, brudno i blado żółtawe, u góry blado-fioletowe, z brunatno-czerwonemi plamami jaja, które wysiaduje przez 17 do 19, według mniemania innych 21 dni. Niektórzy twierdzą, że wysiadywanie jaj trwa 19 do 20 dni od czasu złożenia ostatniego jaja, i że siedzą na jajach naprzemian samica i samiec. Pewni ornitologowie wnoszą, że słonka dwa razy w roku się gnieździ. Sądzimy, iż dzieje się to tylko wtedy, gdy pierwsze gniazdo zostało zniszczone albo gdy pierwszy lęg wyjątkowo zbyt wcześnie nastąpił, jakto czasem już w miesiącu Marcu się wydarza. Skoro się młode wykłują, obejmuje samiec, oddalony podczas lęgu od gniazda, obowiązki ojcowskie, często bowiem oboje rodzice znajdują się przy młodych. Oboje, a szczególnie samica, żywą okazują obawę przy zbliżeniu się człowieka. Młode szybko podrastają, już po trzech tygodniach podlatują, po czterech wybornie wznoszą się w górę, wtedy rozpraszają się, i ulatują według zdania Naumanna nawet w odległe od gniazda miejsca. Samica dosiaduje na jajach tak twardo, że prawie ręką jej dotknąć można, nim się zerwie. Młode wieczorami gromadnie przeciągają.

Słonka jest tak co do powierzchowności jako też zachowania się wielce oryginalnym ptakiem, wykraczającym w wielu względach od reguł, jakie nauka u pokrewnych jej

*

błotniaków dostrzegła. Jest ona w istocie ptakiem nocnym, a jakkolwiek zwłaszcza w czasie ciągu często za dnia w gęstych krzakach żeruje, to jednak zwykle z zmrokiem wieczornym obudza się w niej życie, i wtedy wzlatuje z swego schronienia ku mokrym łąkom leśnym lub pobliskim polom, zapada w nie, i szpera dziobem za owadami, robakami i t. d. Mimo swego kaczkowatego, chwiejnego chodu, bieży słonka dosyć szybko ale wolniej jak kuropatwa. Lot jest jej tylko właściwy nieco podobny do sowiego, na pozór troche ciężki, mimo tego jednak regularny i szybki. Przy wznoszeniu się uderza tak jak gołąb skrzydłami o siebie, z czego powstaje właściwy, dobrze znany myśliwym odgłos, a w szybkim locie wydaje również właściwy, przytłumiony głos. Rzadko tylko wznosi się po nad drzewa, i nigdy zbyt daleko nie ulatuje, można przeto wypłoszoną słonkę w lesie znaleść niezawodnie o 400 do 500 kroków. W locie dziób zawsze na dół spuszczony.

Zmysły u słonki są wybornie uorganizowane. Wietrzy ostro i doskonale, dziobem maca. Ucho słonki jest niezwykle wielkie, słuch też jej ostry. Jest bardzo płochliwą, prócz w porze lęgu. Podczas wiosennego ciągu tokują razem. Wtedy ciągną w zmroku wieczornym i porannym, w dżystej i burzliwej porze w milczeniu lub tylko od czasu do czasu piszcząc, wysoko i szybko w powietrzu, w ciepłej zaś zwłaszcza podczas małego deszczyku, nisko, wolno, nieustannie głośno chrapiąc, przez krótszy lub dłuższy czas, w miarę jak rychlej lub później samiec z samicą się zetkną, im więcej lub mniej potrzebują spokoju. Najchętniej przeciągają po nad brzegami gęstych gajów liściowych, otoczonych łąkami, zrębami, kałużami czy to w okolicy górskiej lub też w równinach. Co do głosu słonki rozróżniany bywa trojaki, chrapiący, psykający i gdakający. Pierwszy słyszany bywa tylko podczas ciągu wiosennego, i ustaje u samicy w porze lęgu, gdy samiec odzywa się aż do św. Jana Gdakający ton rzadko daje się słyszeć, mianowicie tak na wiosnę jakoteż w jesieni przy podrywaniu się, a szczególnie gdy nagle widzi się przez legawca zagrożoną. Głos ów podobny do głosu cieciórki przy zrywaniu. Kiedy się w porze ciągu dwa lub więcej samców z sobą zetkną, to wtedy często daje się słyszeć gwałtowne *gog*, *gog*, *gog*, *gog*, i t. d., przyczem rozpoczynają wcale nie groźną między sobą walkę, i dziobami nawzajem się uderzają. Lotne słonki wydają przy zbliżeniu się do nich dziwnie dźwięczący, trwożliwy głos, rozprzestrzeniają przytem pióra ogonowe, nakształt wachlarza, i usiłują nadaremnie wznieść się. Takie lotne słonki stawiają się czasem w ten sposób do obrony w obec chcącego je pochwycić myśliwego. Dwie szczególne właściwości słonki zasługują na uwagę: 1. stara słonka unosi czasem młode w powietrze, aby je gdzieindziej bezpieczniej umieścić. Co do sposobu tego unoszenia różne są zdania. Jedni twierdzą, iż słonka bierze młode między dziób i szyję, według innych niesie je między nogami, znowu inni mniemają, że umieszcza je między dziobem i nogami przycisnąwszy do piersi, w końcu ostatni sądzą, że unosi dziobem. Według naszego zdania słonka bierze młode między szyję i pierś, przyciska dziobem mocno do siebie, i unosi tak w powietrzu, aż w końcu wszystkie w ten sposób przeniesie. Podanie, jakoby słonka młode między nogami unosiła, jest podobno najmniej zgodne z prawdą, nogi jej bowiem już z powodu budowy swojej wcale nie są odpowiednie do przytrzymywania, zresztą potrzebuje ona nóg do lotu, nie może je przeto ciężarem obarczać. 2. Gdy strzał roztrzaska jedną nogę, to drugą zdrową i dziobem kładzie na nią okład z pierza wyrwanego na brzuchu, i tym sposobem goi ją.

Co do nieprzyjaciół słonki, nadmienić należy, że oprócz człowieka groźnym jest dla starych lis, dla młodych zaś i jaj wszystkie rodzaje kun i łasic. Od prześladowania ptactwa drapieżnego, a szczególnie jastrzębia gołębiarza, uchylają się w swych kryjówkach za dnia, jakoteż w nocnych wycieczkach często szczęśliwie. Wewnątrz trapione bywają bardzo przez wnętrzaków.

Mięso słonki jest nader smaczne i zdrowe, mianowicie w jesieni, gdy jest o wiele więcej oblaną jak na wiosnę.

Wypływający z pieczonej w całości z trzewiami słonki tłusty płyn i kryszki z niej usmarzone na płatkach bułki, lub też cieniutko posiekane wnętrzności z utartą bułką, jajami i pietruszką zmięszane, w maśle smażone i na płatkach bułki smarowane, należą do przysmaków. — Zresztą twierdzą, że w okolicach, gdzie słonki gęsto się gnieżdżą, świeże ich jaja, tak jak gdzieindziej czajcze, do najwytworniejszych dań się liczą, i bywają zwłaszcza w dniach świątecznych drogo płacone.

Nie uważano dotąd, iżby słonka jaką czyniła szkodę w kulturze rolnej i leśnej, należy przeto do zwierzyny pożytecznej. Niestety ów powabny, tyle prawdziwej rozkoszy myśliwym sprawiający ptak, staje się z każdym rokiem mniej licznym, a twierdzenie to nie da się zaprzeczyć. W rewirach, w których przedtem przeciętnie bito co roku 50 sztuk, pada przy najusilniejszem staraniu zaledwie 12, a stosunek ten pojawia się nie tylko w całych Niemczech, ale też w właściwej ojczyźnie słonki. Główna przyczyna zmniejszenia ich liczby leży przedewszystkiem w odmiennej kulturze, mianowicie w wysuszeniu mokradeł, w przeistoczeniu gajów w drzewostan wysokopienny, w zniesieniu łąk leśnych. W ogóle staranniejsza kultura lasów, przemieniająca opuszczone parcelle lasów w dobrze zagospodarowane, i wypłaszająca słonki z ulubionych siedlisk, przyczynia się znacznie do ich umniejszenia. Zresztą wywierają w tym względzie wpływ następne okoliczności: znaczniejsza liczba dobrych strzelców; szerzenie się w całej Europie poprawnej i dalekonośnej broni palnej, a zwłaszcza w tych krajach, gdzie słonka zimuje; nieustanne i zaciekłe jej prześladowanie, mianowicie za pomocą sidełek, któremi szczególnie w zimowiskach bywa wyławianą; rozmnożenie się drapieżców, lecz powód ów jest podrzędnym; w końcu, co najważniejsze, nadto bezwzględne wybijanie słonek na wiosnę, jako w porze lęgu. Z ostatniej przyczyny niektórzy myśliwi objawili w najnowszych czasach zdanie, iż należałoby słonkę na wiosnę, gdy wszelkie ptactwo zabierające się do rozmnażania swego rodu doznaje ochrony, również szanować, i że natomiast trzebaby usilniej na nią polować w jesieni, gdyż w tej porze jest ona najsmaczniejszą zwierzyną. To zdanie ma wprawdzie wielu zwolenników, ale któryż prawdziwy myśliwy wyrzeknie się chętnie wiosennego polowania na słonki? Ustawa go normować nie może. W każdym razie sprawa utrzymania pomyślnego stanu słonek, i zapobieżenia zmniejszenia się ich liczby, nakazuje każdemu rozsądnemu myśliwemu, strzelać je w porze wiosennej tylko na ciągu, wtedy bowiem padają prawie tylko samce, gdy przeciwnie buszując lub naganiając idą na strzał słonki obojej płci. U słonek przeważa liczba samców znacznie. Gdy się zresztą rozważy, że liczba słonek ubitych na ciągu w stosunku do zastrzelonych przy buszowaniu i nagance, jest o wiele mniejszą; to polowanie na ciągu musi być uważane jako wcale

nieszkodliwe, buszowanie zaś i naganianie jako najszkodliwsze. Ostatnie przeto odbywać się powinno tylko w jesieni, a wtedy nawet z umiarkowaniem. Zresztą starannie zapobiegać trzeba stawianiu sidełek, które zwłaszcza w jesieni ogromnie tępią słonki. Rozumie się, iż w porze rozpoczęcia lęgu strzelanie słonek powinno być zaniechane. Ustawa niech tu stanie na straży i przepisze czas ochrony dla tego ptaka. Co do chwili, w której młode słonki mają być strzelane, nie ma zgody, jedni oznaczają porę św. Jana jako najodpowiedniejszą, drudzy połowę Lipca, inni Sierpień i Wrzesień.

Co do czasu ochrony obowiązują obecnie w Niemczech następne prawne przepisy: w Prusiech, Brunświku, Anhalt, Hessen-Darmstadt, Księstwie Birkenfeld, Sachsen-Weimar, Sachsen-Meiningen, Sachsen-Altenburg, Gotha, Lippe, Schwarzburg-Rudolstadt, Schwarzburg-Sonderhausen i Reuss od 1 Maja do 1 Lipca; w Bawaryi od 15 Kwietnia; w górach od 1 Maja do 1 Lipca; w Saxonii od 15 Maja do 1 Września; w Würtembergu od 15 Kwietnia do 1 Września; w Waldeck i Pyrmont w ogóle w porze lęgu; w innych jak: Oldenburg, Coburg strzelane bywają słonki przez cały rok. Najwłaściwszą porą ochrony według naszego zdania jest od 1 Kwietnia do 1 Sierpnia, która o tyle mogłaby być zmodyfikowaną, że czas ochrony w okolicach południowych winien się rozpoczynać od 1, w północnych od 15 Kwietnia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# O CHOWIE BAŻANTÓW

według dzieł niemieckich

NAPISAŁ

**K. Remiszewski.**

Pierwotną ojczyzną bażantów jest Georgia i Mingrelia nad rzeką Phasis. Od dawnych jednak czasów sprowadzono i zaaklimatyzowano bażanty w Europie i dziś a osobliwie w Czechach ptak ten żyje w stanie pół dzikim. — Trzy są rodzaje bażantów: bażant zwykły *(Phasianus colchicus)*, bażant srebrny *(Ph. nycthemerus)* i bażant złoty *(Ph. pictus)*. Dwa ostatnie rodzaje bywają tylko jako ptaki ozdobne po parkach hodowane, pierwszy tylko rodzaj zaaklimatyzował się zupełnie w północnej Europie i jest przedmiotem łowów.

W Galicyi zaledwie w kilku miejscowościach hodują bażanty, a jednak przy odpowiedniem staraniu i dobrej woli uzyskać by można przez przyswojenie bażanta naszej faunie i rozrywkę nie małą i korzyść pieniężną. Chów bażantów nie jest trudnym i nie wielkich wymaga nakładów, tem więcej przeto dziwić się należy, że jak się wyżej rzekło, w kilku tylko miejscowościach w Galicyi założono bażantarnie.

Wielkość bażantarni zawisła tylko od tego, jaką sumę właściciel na ten cel wyłożyć zamyśla. Bażant wychowa się na małym obszarze równie dobrze jak na wielkim, byle mu zapewnić spokój i dozór. Z największych jednak, najlepiej strzeżonych bażantarni rozlatują się bażanty w Listopadzie, osobliwie podczas dni mglistych tak dalece, że w milowych nieraz odległościach zbiegów szukać trzeba.

Najodpowiedniejszem miejscem do założenia bażantarn jest część lasu w połowie szpilkowem i liściastem zarosła drzewem. Drzewostan szpilkowy daje w zimie ochronę przed zimnem i drapieżcami, pączki zaś i jagody liściastych drzew i krzewów jak czeremchy, ligustru, jarzębiny, borówki, maliny służą bażantom za pokarm. Obok lasu znajdować się muszą łąki i pola uprawne, na które bażanty po żer wychodzą.

Celem bażantarni w ogóle jest zapewnienie bażantom ochrony przed zwierzętami drapieżnemi i ostrością klimatu, a sposobów chowania jest dwa: sztuczny i naturalny. W pierwszym wypadku jaja bażancie wysiadywane bywają przez indyczki — w drugim zaś czynność tę pozostawia się samicom bażantów

Bażantarnie sztuczne. — Część lasu obrana na bażantarnię ogradza się płotem lub lepiej parkanem na 6 stóp wysokim, aby utrudnić przystęp tym zwierzętom drapieżnym, które nie latają i nie łażą po drzewach. W dolnej części ogrodzenia, w odległości co 100 kroków, robią się otwory i w tych to otworach umieszczać należy łapki o dwu zasuwkach. Zewnątrz i wewnątrz ogrodzenia porobić trzeba ścieżki na stopę szerokie, i takowe zawsze czysto utrzymywać. Psy, koty, kuny, tchórze i łasice, chcące się dostać do bażantarni, chętnie idą temi ścieżynkami szukając otworu w ogrodzeniu. Skoro spostrzegą otwór i wejdą weń niedomyślając się łapki, zasuwki obie spadają. Wcześnie rano stróż bażantarni rewiduje łapki, a po wyjęciu złapanych szkodników, nastawia takowe na nowo. Część wewnętrzną podzielić należy liniami na parcele w celu ułatwienia polowania, a na miejscu wolnem n. p. na łączce buduje się szopę o trzech ścianach z dachem pulpitowym. Wysokość tej szopy wynosi z tyłu sześć stóp, z przodu t. j. w miejscu, które się zostawia wolne, bez ściany 12 stóp, szerokość zaś 18 stóp. Długość szopy stosuje się do potrzeby t. j. do ilości wychować się mających bażantów. Ściany mogą być z chrustu plecione, z oszwarów, desek, lub murowane; uważać jednak należy, aby wszelkie szpary były zalepione starannie, by przez nie myszy, szczury lub łasice do wnętrza dostać się nie mogły. W ścianie bocznej lub tylnej umieszcza się drzwi wchodowe. Następnie przygotować należy budki małe dla indyczek wysiadujących, a że każda indyczka odosobnioną być musi, zrobić więc trzeba tyle budek, ile indyczek nasadzić myślimy. Budki te są z tyłu 1½, z przodu 3 stóp wysokie, szerokość ich zaś wynosi 2½, a długość 4 stopy. Ściana przednia jest wysuwalna i tworzy zasuwę podobnie jak i w daszku przynajmniej jedna deska wysuwalna być musi w celu wsadzania i wyjmowania indyczki i czyszczenia budki.

Wyszukiwanie jaj. — Gdzie bażanty już są zaprowadzone i dziko żyją, niosą się w Maju w gęstwinach. Gniazda ich są to niedbale w ziemi płytko wygrzebane dołki usłane liściem. W takowe składa kura młoda 6 do 8, starsza zaś do 25 jaj białych z odcieniem żółtym, zielonawym lub niebieskawym. Znając takie miejsca, gdzie bażanty się niosą wyszukuje się gniazda (np. wyżłem bardzo spokojnym i posłusznym), i wybiera jaja, składając takowe do koszyka wypełnionego sieczką. Wszystkich jaj jednak zabierać nie należy,

lecz zawsze pozostawić jedno lub włożyć jajo sztuczne albo przeszłoroczne naznaczone, by je nie zamienić później ze świeżem. W ten sposób postępując kury się nie odpłoszy od niesienia dalszych jaj do tego samego gniazda, jeśli jeszcze wszystkich nie zniesła. Po kilku dniach powtarza się tę czynność tak długo, jak długo się kury jeszcze niesą. Zebrawszy jaja lub sprowadziwszy takowe z innych bażantarni (np. z Domauschitz per Oberrocôw, Stauding na Szlązku), podkłada się takowe pod indyczki najlepiej stare, które już wysiadywały jaja. W tym celu ustawia się wyżej opisane budki w szeregu pod tylną ścianę szopy, mniej więcej 10 stóp od ściany, i wyściela się je miękko sianem. Między budkami zostawić należy tyle wolnego miejsca, aby bażantarnik wygodnie do każdej budki bez straty czasu, bez przesuwania tychże mógł się dostać. Do każdej budki wkłada się co najwięcej 20 jaj, sadza ostrożnie na nie indyczkę i zamyka zasuwkę. Przednia część szopy zamyka się przytwierdzoną zasłoną płócienną, a obok budek czuwać musi dniem i nocą bażantarnik, którego obowiązkiem jest przy najlżejszym szmerze oglądać budki, czy przypadkiem mysz lub t. p. do budki się niedostała i nie płoszy indyczki, która przestraszona tłucze jaja. Od tej chwili, gdy indyczki poczną wysiadywać, zaniechać należy wszystkich robót wewnątrz szopy, jak wbijania pali, ubijania ziemi i t. p., gdyż każde wstrząśnienie wpływa nader szkodliwie na proces wylęgania się młodych bażantów. Indyczkom podaje się żer raz na dzień, w dnie pogodne na dworze, w słotne zaś w szopie. W tym celu (w południe) odsuwa się deskę w dachu budki, wyjmuje ostrożnie indyczkę i karmi pośladem pszennym, nie zapominając o świeżej wodzie do picia. Często się zdarza, że wysiadujące indyczki cierpią bardzo od wszów, aby je od tych niepokojących pasożytów uwolnić, dobrze jest dozwolić indyczkom parpać się w piasku lub gdy to nieskutkuje, obmywać je mocnym odwarem z liści tytuniowych, w ogóle jest czystość niezbędnym warunkiem pomyślnego skutku wychowu bażantów.

Po 25 dniach wysiadywania poczynają się młode bażanty wykłuwać, nie dzieje się to jednak jednocześnie, dlatego winien dozorca bażantarni już 24 dnia oglądnąć jaja i wszystkie nakłute pod jednę indyczkę podłożyć, wyjmując z pod niej tyle nienadkłutych, ile nadkłutych włoży, rozdzielając takowe pod inne indyczki. Co sześć godzin powtarza się ta czynność, aż się wszystkie bażanty wykłują, co się jednak bardzo rzadko zdarza, gdyż prawie zawsze pewien procent jaj jest zepsutych. Teraz podnoszą się w budkach przednie zasuwy tak, aby indyczki widzieć mogły bażanty i urządza się małe podwórko dla tych ostatnich w ten sposób, iż pod każdą budkę kładą się trzy deski, przez co się jedną budkę od drugiej odgradza. Indyczkę należy upiąc w budcę na sznurze, aby nie zjadała pożywienia podawanego młodym bażantom, należy ją jednak dwa razy dziennie pośladem pszennym karmić i wody poddostatkiem podawać do picia. Na noc zapędza się bażanty do swoich budek i zamyka zasuwę. Dopiero po 48 godzinach dostają bażanty pierwsze pożywienie, które się z drobno usiekanego białka z kurzego jaja składa. Białko to sypie się na czystą deszczułkę i stawia pod budkę. W ogóle należy bażanty przyzwyczaić tylko z deszczułki pokarm brać, nie ze ziemi, w którym to celu podłoga w szopie musi być ubitą i czysto zamiecioną, aby bażanty ani grudek ziemi ani piasku połykać nie mogły. Przez trzy dni niedostają bażanty innej karmy ani też wody, dopiero czwartego dnia daje się inną karmę, przyrządzoną w następujący sposób: W polewanym garnku gotuje się świeżo wydojone mleko krowie, a gdy zakipi, wkłada się kilka całych kurzych jaj i ustawicznie mięsza, aby się mleko nieprzepaliło lub nie przydymiło. Następnie wlewa się płyn ten do czystego woreczka płóciennego i wyciska w prasie od sera, dopóki wszystka serwatka nie odejdzie. W woreczku pozostaje rodzaj sera, który po ostygnieniu drobno usiekany bażantom się podaje. Do sera tego dobrze jest dodać cokolwiek usiekanego liścia krwawniku *(achillea millefolium)*. Nadmienić należy, że nigdy nie należy karmy od razu zmieniać, lecz do dawnej przez kilka dni nowej dodawać w coraz większej ilości. Zamiast wody daje się młodym bażantom mrówcze jaja (właściwie poczwarki), których zawsze pewien zapas w pogotowiu mieć trzeba. W tym celu zbiera się takowe na łąkach w miejscach słonecznych, nie zaś w lesie. Jaja mrówek leśnych dużych lub mrówek czerwonych są trucizną dla bażantów z powodu zawartego w nich wielkiej ilości kwasu mrówczanego. Później daje się bażantom czystą wodę do picia, nigdy jednak bezpośrednio po mrówczych jajach, co najmniej jedno karmienie serkiem napojenie poprzedzić winno.

Dozorca bażantów ciągle baczyć ma na młode bażanty i badać exkrementa, gdy te są wodniste, ująć trzeba mrówczych jaj i wody, a dodawać, gdy odchody twarde. Po ośmiu dniach żywienia serkiem (z mleka i jaj) podawać już można gotowany groch, proso i śrót pszenny. Pokarm ten przygotowuje się podobnie jak serek.

Proso (jagły), groch lub pszenica gotuje się z mlekiem i jak ser w prasie wyciska, ostudza i drobno posiekane podaje się bażantom na deszczułce czystej. Samym grochem karmi się w ten sposób, że się przeciska przez włosienne sito groch ugotowany, przez co łuski pozostają na sicie. Po dziewięciu dniach, gdy bażanty zdrowe, można im dać wody, ale tylko raz na dzień.

Pokarm wyżej opisany dostają bażanty tak długo, dopóki nie zaczną jeść pszenicy, która im się daje z początku gotowana, a następnie surowa.

Dla ułatwienia podajemy tablicę żywienia:

| Bażanty mają wieku: | Dostają jako pożywienie: |
|---|---|
| 1—3 dni | Białko siekane twardo gotowanego jaja kurzego. |
| 4 dni | Serek, rozumie się zawsze z mlekiem, gotowane jaja i wyciśnięte w prasie. |
| 5 „ | Serek i mrówcze jaja raz na dzień. |
| 8 „ | Dwa razy mrówcze jaja. |
| 9 „ | Serek i raz pić. |
| 15 „ | Serek z gotowanym grochem (bez łusek). |
| 18 „ | „ „ „ i pić cały dzień. |
| 20 „ | „ „ „ „ „ „ |
| 39 „ | Serek, groch z dodaniem gotowanej pszenicy i pić |
| 44 „ | „ „ i surowa pszenica i pić. |
| 51 „ | Surowa pszenica i pić. |

Po 15 — 20 dniach przelatują małe bażanty przez deski, odgraniczające podwórka przed budkami urządzone i trzeba wtedy przez dodanie desek odgraniczenia podwórek podwyższyć. Podczas pogody można już bażanty z indyczkami wypędzić na paszę na łąkę, z początku paść je przez godzinę, później dłużej, aż się nareszcie (51 dnia wieku, gdy już samą surową pszenicę jeść poczną), przyzwyczają się całe dnie na wolnem powietrzu przepędzać! Przy tem muszą mieć usypane miejsca, gdzieby się dowoli w piasku i prochu parpać mogły, co jest prezerwatywą przeciwko wszom. Gdyby to niepomogło i wszy ustąpić nie chciały, co łatwo po tem poznać można, że

bażant smutny i często się drapie, należy każdego bażanta posmarować olejem lnianym, którego przykry i silny odór wszy zabija. Na wszy musi dozorca bażantów szczególną zwracać uwagę, gdyż przez nie młode bażanty bardzo marnieją a często i giną. Karmy nigdy nie należy skąpić, a gdy się gotowaną pszenicę daje, uważać, aby należycie ochłodła, do tej dodawać surowej, codziennie dawkę powiększając a z 51 dniem życia bażantów, już samą pszenicą karmić je można. O tym czasie dla uniknienia zaduchy nie zasuwa się na noc przedniej ścianki w budkach.

Często się zdarza, że w ciepłych nocach w szopie powstaje popłoch bez żadnej przyczyny. Jakby na komendę zrywają się bażanty i poczynają latać po szopie, przyczem wiele ginie, rozbijając sobie łepki lub łamiąc skrzydła i nogi. Obowiązkiem bażantarnika jest w takim razie corychlej zasłonę podnieść i bażanty na wolne powietrze wypędzić wraz z indyczkami. Bażanty pochowają się w trawie i krzakach. a rano wrócą spokojnie do budek, gdy przyjdzie czas karmienia. Po dwóch miesiącach, gdy bażanty zdrowe, można je na wolność wypuścić, i tem samem robota wychowu na ten rok ukoczona.

Jak największe staranie o czystość i zdrowa nie skwaśniała karma, oto warunki pomyślnego skutku wychowu bażantów. Nigdy nie należy więcej karmy sporządzać, jak tylko tyle, ile jej w dniu jednym spożytkować można. Dla tego tak serek jak i gotowany groch, jagły itp. w chłodnem miejscu owinięte zwilżoną czystą płócienną szmatką przechowywać należy, a gdy pomimo tych ostrożności skwaśnieją, trzeba je bez wahania wyrzucić, lub na inny cel obrócić.

Tak samo należy postąpić, gdy karma podczas gotowania się przepali lub przedymi. Również w budkach siano co dwa dni zmieniać, a podwórka kilka razy dziennie czysto zamiatać.

Wypuszczanie bażantów. — W miejscu nie bardzo gęsto zarosłem opierają się drabinki o drzewa, aby wylatywanie na nie bażantom ułatwić, w bliskości zaś przygotowuje się miejsce stosowne do sypania karmy. Załatwiwszy te przedwstępne czynności, gdy nie ma obawy słoty, można bażanty na wolność wypuścić, co się w ten sposób dzieje, że bażanty zrana na paszę wypędzone, na nowo przygotowanem miejscu się karmi i na noc do szopy już nie wpędza. Indyczki pierwsze powlatują wieczorem na drzewa, a za niemi i bażanty. Rano gdy z drzew na ziemię zlatywać poczną, sypie się karma na nowo urządzonym toczku, co się tak długo powtarza, aż bażanty zupełnie dorosną, a wtedy usuwa się indyczki po jednej, i zostawia bażanty samym sobie. Takich toczków, na które się karma sypie, założyć należy więcej, a ilość ich do obszerności bażantarni i ilości wychowanych bażantów stosować się winna. Dobrze jest, jeśli dozorca bażantów bażanty do pewnego głosu lub świstu przyzwyczai, i tym głosem zawsze je do karmienia zwołuje. Chociaż bażanty już są na wolności, nie należy zaprzestawać je karmić, owszem z wyjątkiem miesięcy Lipca i Sierpnia sypie się karma przez cały rok, osobliwie w Listopadzie, w którym to miesiącu ciąg bażantów przypada.

---

Chów dziki (naturalny). — Chowając bażanty w stanie dzikim, pozostawia się wysiadywanie jaj kurom bażantów. I przy tym sposobie chowu lepiej jest, jeśli miejsce do tego celu przeznaczone jest ogrodzone. W żaden zaś sposób nie należy zaniedbać urządzenia ścieżynek, na których się zastawia łapki. Również pamiętać należy o toczkach do sypania karmy, które po całej bażantarni regularnie rozdzielone być mają.

Sprowadzane bażanty, jeśli ich w okolicy nie ma (na 10 kur jeden kogut, bardzo wygodnie np. ze Szlązka, Fürst Blücher'sche Güterverwaltung in Stauding, kura po 3 fl., kogut po 4 fl.), wypuszcza się wieczorem, aby daleko nie leciały. Znajdą one łatwo toczki z pszenicą i rychło się z nowem miejscem oswoją. W Maju niosą kury 6 — 25 jaj i wysiadują takowe w 25 dniach. W tym czasie dozorca bażantantarni baczyć winien pilnie na wszelkiego rodzaju drapieżce, i starać się ma odstraszać ich wszystkimi sposobami od bażantarni. W Niemczech używają oprócz łapek i strzelania z wroniej budki na puhacza także trąb i bębnów w ten sposób, iż dozorca bażantarni w nocy takową obchodząc bębni lub trąbi. Jeśli w bażantarni strumyka, sadzawki i t. p. nie ma, trzeba się starać, aby w inny sposób zawsze w obfitości bażantom napój zapewnić. Z końcem Października bażanty dorastają, i wtedy rozpoczyna się polowanie z nagonką, wyżłem itp. Najlepiej gdy polowanie przed ciągiem bażantów tj. z początkiem Listopada się skończy, a resztę do chowu przeznaczonych na sieci ramowe się wyłapic, podczas ciągu bowiem wiele bażantów dla właściciela ginie, gdyż rozpierzchają się nieraz na kilka mil.

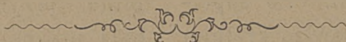
Słabości bażantów. — Bażanty ulegają tym samym chorobom co i kury domowe. Najczęstszą chorobą jest pypeć tj. stwardnienie naskórka na końcu języka. Chorobę tę poznać można łatwo po tem, że bażant na nią cierpiący odłącza się od innych, nie żeruje, lecz z nastroszonem pierzem trzyma się na uboczu. Środkiem przeciw pypciowi jest zdarcie onegoż nożem i nasmarowanie rany oliwą.

Chudnienie. — Powodem tej choroby jest tłusta narośl tworząca się pod ogonem. Ostrym nożem przecina się ostrożnie guz, a wycisnąwszy go, smaruje ranę oliwą drzewną.

Zatwardzenie leczy się oliwą, wpuszczając takowej kilka kropel w dziób i kiszkę obchodową.

Biegunka. — Powodem jej jest zwykle chłodna a słotna pora. Bażantom chorym nie daje się ani wody ani jaj mrówczych, przez co słabość w kilku dniach ustaje.

Oprócz powyżej wymienionych chorób zdarza się często, że bażant połknie poczwarkę owadu *Aphrophora spumaria*. Poczwarka ta tem się wyszczególnia, że bardzo wiele śliny z siebie wydaje, co w lecie na wierzbach łatwo spostrzedz można. Skoro się znajdzie we wolu bażanta, poczyna ślinić, co bażantowi grozi uduszeniem. Spostrzegłszy to, należy bażanta schwycić, i cisnąć dwoma palcami wole wydusić, albo też przekłuć wól szpilką w celu wypuszczenia powstałych gazów. Często pomaga wpuszczonych kilka kropel oliwy.



# JELEŃ

PRZEZ

*Alexandra Ubysza.*

(Ciąg dalszy).

Ozdobą, oznaką płci męskiej a zarazem bronią u jelenia, są rogi. Nie mają ich łanie, lubo zdarzają się wyjątkowe wypadki łań z rogami. Dombrowski w swem znakomitem, wyżej wymienionem dziele wspomina o takiej jeleniej „*hic mulier*“, którą w XVI wieku zabić miał na łowach książe Jan Frydryk Wirtemberski. Historya naturalna zaliczyła jelenia wraz z łosiem, północnym reniferem i sarną do rzędu pełnorożców, ponieważ rogi tych zwierząt, od czoła aż do ich kończyn „korony“ są pełne *(massiv)*, czyli wewnątrz nie wydrążone, jak u kozicy tatrzańskiej, wszelkiego rodzaju antilop, oraz u żubrów, turów, kóz i domowego bydła, należących do klasy „pustorożców“ mających rogi odmiennego kształtu, składające się z innej zupełnie substancyi, i wewnątrz do jednej trzeciej części swej długości wydrążone czyli puste. — Kiedy młode jelonki poczynają „stawiać słupce“, lub w której porze wieku zaczynają się im formować owe wyroście kostne, będące niejako podstawą przyszłych rogów, albo raczej korzeniem jakoby rośliny (np. szparagów), pędzących co roku świeże latorośle, — o tem nic stałego powiedzieć nie można. Zawisło to od przyjaznych lub nieprzyjaznych warunków. Siły fizyczne i tychże stopień dziedziczy zwykle jeleń po rodzicach, jeżeli przeto łania była młoda a samiec nie szpiczak, lub też mimo dojrzałości, wątły, lecz raczej krasny rogacz kapitalny, natenczas płód będzie silny, i rozwinie się pod każdym względem prawidłowo. Gdy przeciwnie pod względem doboru rodziców były anormalności, np. z powodu wieku nieodpowiedniego już do rozpłodu, rogacz bowiem w 18tym, łania w 12stym roku życia stają się niezdolnemi do wydania na świat silnego i zdrowego płodu, gdy podczas rui połączy się z sobą taka podeszła para ze skutkiem, wtedy potomek będzie wątłym, zginie albo zaraz w pierwszej zimie, lub jeżeli szczególnem wydarzeniem ujdzie śmierci, to jednak z powodu braku sił żywotnych nigdy nie nabędzie rozmiarów kapitalnego rogacza, ani też rozpocznie się u niego w zwykłej porze to jest po skończeniu sześciu miesięcy życia, tworzenie się zawiązków *(procesus pro cornu)* przyszłej męskiej ozdoby — rogów. U jelonków po sześciu miesiącach poczynają się formować słupce. Są to kostne wyroście czyli korzenie wewnątrz porowate, na których zewnętrznej powierzchni wyrasta róg. Taka formacya wywołuje silną reakcyę w całym organizmie młodego zwierzęcia, przebywa rodzaj choroby, chudnie, posępnieje, a gdy słupce dochodzą już zupełnej dojrzałości t. j. poczynają występować na powierzchnię czaszki, wtedy głowa puchnie sprawiając ból dotkliwy, w skutek czego giną zwłaszcza gdy jelonek nie silny, a pora jest dżystą lub śnieżną, co w Karpatach nawet w Czerwcu się zdarza. Wiarogodny p. Os. zaręczał mi, że jednej wiosny w końcu Maja znaleziono na Bieszczadzie trzy nieżywe jelonki, bardzo wychudłe, z głowami obrzmiałemi. Po zupełnem wytworzeniu się słupców poczynają one w bardzo krótkim czasie zakwitać t. j. na wierzchu słupców formują się „róże“ czyli pierwiastek rogów, które w pierwszym roku bez bocznych odrośli czyli „konarów“ do pewnej wysokości wyrastają, dojrzewają. Pora zrzucania rogów dla nich jako dla „szpiczaków“ przypada na miesiąc Kwiecień, dla starych rogaczy zaś na Luty. Po pierwszem zrzuceniu rogów, co dla szpiczaka jest oznaką dojrzałości, poczynają przy każdem nowem odrastaniu rogów czyli „wieńca“ ukazywać się jeden lub dwa konary więcej. Mylnem jest twierdzenie niektórych myśliwych, jakoby rogaczowi przy każdorocznem zrzuceniu rogów przyrastał jeden konar, i świadczył o liczbie jego lat. Jeleń stara się ukryć rogi, które pojedyńczo jeden po drugim w przeciągu kilku dni odpadają, zagrzebuje je w mchu lub w mokrem jakiem miejscu, używając do tej czynności przednich badyli, ostremi racicami opatrzonych, i spory na ten cel rowek wykopuje. Dziwnie próżnym jest wówczas rogacz, skoro utraci swój wieniec, a zowie się on wtedy w języku łowieckim „gamułą“, jakoby wstydem zdjęty, porzuca stado, kryje się w najciemniejszym gąszczu leśnym, i przebywa w niem tak długo, aż na nowo skroń jego ozdobi się piękniejszym jeszcze, jak dawny, wieńcem. Rogi odrastają w przeciągu czterech miesięcy, u górnego końca „korony“ stykając się z konarami, mają częstokroć podobieństwo do ludzkiej ręki z dłonią i palcami w górę zwróconemi lub też inne fantastyczne przybierają kształty Świeżo odrosłe rogi jelenie podobnie jak sarnie powleczone są aż do zupełnego ich ukształtowania, od górnych końców aż ku dołowi bardzo cieniutką skórką, na której wyrasta szarego koloru, gęsty, około pół cala długi włos, podobny do mchu, który w miarę twardnienia rogów wraz z łuszczącą się skórką, jeleń tarciem o pnie drzew usuwa. Łuszczenie się skórki sprawia mu dokuczliwe swędzenie, co go niecierpliwi i zmusza do nieustannego tarcia często nawet o skały. Tego samego przykrego uczucia doznają i sarny (kozły) między ludźmi wychowane i oswojone, swobodnie chodząc dążą wtedy do pobliskich lasów, i wracają do domu. W dwóch chwilach życia wystawione jest ich przywiązanie do ludzi na próbę, mianowicie w czasie rui, i porze swędzenia świeżych rogów. Widziałem capki, których przywiązanie do domu silniejszem się okazało, jak rozkosze miłości, nie umykały w las, co jednak wcale nie jest regułą; ale uchodziły bezpowrotnie do rozpaczy przywiedzione nader dotkliwym nabytkiem ozdoby swej skroni. Dla jelenia jest krasny wieniec jego iście wieńcem cierniowym na dni kilka, toż wtedy złośliwym jest i sroży się, o czem miałem sposobność przekonać się naocznie. Przez lat dwa przebywając w Czechach, odwidzałem bardzo często wieś Kukus, należący do hr. Sporgów. Obok zamku rozlegał się duży, wysokim murem obwiedziony park, niegdyś zwierzyniec, w którym podówczas prócz kilkunastu zajęcy mieszkał jedyny jeleń-inwalid, miał bowiem przedni badyl skaleczony szkłem okien oranżeryjnych. Hans (tak się zwał ów jeleń) miał już wtedy lat 18, i był bardzo łaskawy. Kogo lubił jak np. ogrodnika i mnie, przychodził na zawołanie do ręki, zwłaszcza gdy nie była próżną. W zimie i w lecie przez dwa lata, przynajmniej dwa razy każdego miesiąca, nabrawszy w kieszenie bułek lub chleba z solą, w jesieni zaś dojrzałych dzikich kasztanów, przebywałem milę drogi najczęściej pieszo w celu odwidzenia rogatego przyjaciela. Było w tem wiele prostej ciekawości,

nie mogłem się bowiem nasycić widokiem owego syna puszcz leśnych w niewoli, lubo swobodnie chodzącego po parku, w którym był i gąszcz miniaturowy i wzgórek dość stromy, dziki, porośnięty drzewami, i woda w małej sadzawce z dwoma pływającymi łabędziami. Żył ów jeleń swobodnie w owym rozległym parku, nie stracił cech charakterystycznych, pragnąłem więc zbadać je naocznie. Podczas skwarów letnich oblęgał Hans pod wzgórkiem w cieniu rozłożystych lip, zawszem go tam w takiej porze znajdował i raczył go prócz bułek i chleba gruszkami i jabłkami, które bardzo mu smakowały, do których też przywołany w ogromnych susach zdążał, zdaleka wietrzył je i brał z ręki, przeciwnie gdym miał tylko chleb, a do tego bez soli, trudno go było przywabić, wtedy szedł zwolna na trzech nogach, utykając. Pocieszny był to zwierz, wolno idąc mocno kulał, ale gdy zwietrzył zapach owoców lub gdy się czem przeraził, pomykał jak strzała na wzgórek, opędził cały park, i stanął wreszcie z głową dumnie podniesioną, wówczas to ani znać było jego kalectwa. Czegoż to nie dokaże gorąca krew i energia? Wtedy zwykle śmiechem wybuchałem pustym, przypominał mi bowiem ów jeleń z czasów moich lat dziecinnych nauczyciela tańca, Francuza Marie z jedną nogą krótszą, który chodząc mocno utykał, ale gdy w końcu lekcyi uczniowie i uczennice puścili się w szaloną polkę z figurami, wówczas trzeba było widzieć starego i kulawego Francuza, jak zgrabnie i gładko f o r t e n c e r o w a ł. Jeleń ów, w pierwszych dniach życia swego przyniesiony do parku, lat 18 tam przeżył, a jednak lubo nie znał gór, zachował wszelkie cechy swoich współbraci z gór Kruszcowych i Czeskiego lasu. Nieraz w porze rui ryknie gromko i nasłuchuje, ażali nie odezwie się gdzieś w dali głos rywala. Gdy zrzucał wieniec, był smutny, za dnia nie zbliżał się do miejsca, gdzie stawiano owies w snopach, siano i sól w małem korytku, spożywał to w nocy. Ale kiedy mu odrosły rogi i poczęły się łuszczyć z skórki jakby wigoniem okrytej, mchem porosłej, wówczas był bardzo złośliwym, godzinami całemi wycierał rogi o grubą lipę, którą też na cztery łokcie od pnia w górę zupełnie z kory odarł. Prócz ogrodnika wszyscy domownicy wtedy unikali go, albowiem kiedyś przed laty poturbował kogoś mocno. Po całkowitem oczyszczeniu rogów uspokajał się zupełnie, nie napastował zwidzających park, nawet nieznajomych, lecz się też do nich nie zbliżał.

Badałem jelenia w takiej chwili nie tylko w parku, lecz także w puszczy leśnej Alp transylwańskich, stanowiących granicę między Siedmiogrodem a Mołdo-Wołoszczyzną. Gdym w r. 1855 jako wojskowy stał załogą w Siedmiogrodzie, zaprowadził Rząd z powodu silnie grasującego księgosuszu po stronie Mołdo-Wołoskiej ścisłą straż graniczną wojskową, i właśnie moja kompania obsadziła granicę, której linia ciągnęła się wzdłuż stromych gór, porośniętych odwiecznym borem. Były to niebotyczne buki i dęby z małą przymieszką innych drzew. Co ćwierć mili pobudowane były szałasy, a w każdym z nich umieścił się pluton, którego obowiązkiem było patrolować w dzień i w nocy, i łapać przekradających się handlarzy, pędzących stada wołów ku Siedmiogrodowi, albowiem na Mołdawii spadła bardzo w skutek zarazy ich cena. Pędzili oni je cichaczem górskimi szlakami, i nie tak łatwo było ich złowić na przesmykach, na ścieżkach wzdłuż koryta głębokich, skalistych i ocienionych drzewami potoków. Śród szumu drzew i rwących strumieni trudno było słyszeć kroczących z stadem przemytników zwłaszcza, że wołom w celu stłumienia ryku zawiązywali pyski. Służba to była wcale nie niebezpieczna, ale mozolna. Linia graniczna, lubo często na nowo wycinana, przy bujnej górskiej wegetacyi zarastała szybko, i zakrywała kopce graniczne i słupy na nich, które służyły do orjentowania się. Godzinami całemi po czterech patrolowaliśmy, błądzili nieraz i dochodzili mimowoli do jakiejś nędznej wioski mołdawskiej, gdzie wzięty przewodnik prowadził nas do najbliższego austryackiego szałasu czyli c z a r t a k a. Jak Marek po piekle tłukliśmy się po górach i jarach, przedzierając się przez krzaki. Ileż to razy trzeba było nocować w lesie przy nanieconem ognisku, ze smakiem spożywając chleb kukurudziany, *mamałajem* przez Rumunów siedmiogrodzkich zwany. Ja rad byłem bardzo z takiego trybu życia, ileż to tam ciekawych rzeczy widziałem zwłaszcza ze świtem. Tam spostrzegłem raz starą niedźwiedzicę, idącą skalistym brzegiem potoka, nie więcej jak sto kroków oddalonego od miejsca, w którem nocowaliśmy. Szła wolnym krokiem, a za nią kroczyły dwa spore już piastuny, musiała to być zapewne wycieczka naukowa w celu wskazania praktycznych sposobów łowienia zwierzyny. Piastuny to igrały z sobą, to szarpały matkę w ucieszny ch i niezgrabnych poskokach, za co czuła mama obdarzała ich plackami tak silnymi, iż wywracały koziołka. Za nim poskoczyłem po karabin, już niedźwiedzie znikły poza odłamem skalnym. — Raz podobno w połowie Lipca szliśmy na patrol ciemnym wysokopiennym lasem, trawy ani ziół nie było pod stopami, bo słońce tam nie dochodziło, nawet gałęzie i liście na ziemi nie schły, lecz gniły. Postępujemy więc cicho, w tem na kroków kilkadziesiąt słyszymy jakiś głos jękliwy i pukanie lekkie, zwracamy wzrok w tę stronę, i oto krasny rogacz zaświecił nam s e r w e t ą. Trzy strzały posłaliśmy mu bezskuteczne. Zbliżywszy się do miejsca, w którem stał, ujrzałem na chropowatej korze świerka nalepiony na jego żywicy mech rogów z kilku szuszwałami jeleniego wieńca. Zapewne tak bardzo zaciekł się w tej pracy, iż mimo wrodzonej czujności nie słyszał nas i nie zwietrzył, a tem dziwniej, iż posłyszawszy jęki, głośno pytaliśmy się nawzajem o przyczynę.

Ważne również zrobiłem spostrzeżenie na wzmiankowanym wyżej jeleniu w parku hr. Sporgów. Wiadomo, iż jeleń poniżej każdej z swych ś w i e c ma otwór, który naturaliści nazwali ł z a w n i c ą, górale zaś podtatrzańscy k a p l ą. Wedle podań naukowych sączy się w pewnej porze tymi otworami lepka, mazista substancya, widoczna nawet zdala, naznaczona jest bowiem ciemno-brunatną barwą, i tworzy po obu stronach szczęki górnej jelenia dwie dość długie, ku dołowi spływające smugi. Lud prosty i niektórzy myśliwi twierdzą, że wówczas jeleń ł z y r o n i, uczeni zaś poprostu mówią, że płynie lepka substancya. Ale dla czego, zkąd? jak Cicero mówi: *Quibus auxiliis, cur, quomodo, quando?* W tej to mierze uczyniłem spostrzeżenie, ale czyż mnie to uczyć badaczów, mnie, który tylko z doświadczenia zbierał ziarnko po ziarnku szczupły zasób wiedzy przyrodniczej? Nie były dla mnie przystępne skarbce mieszczące w sobie bogate zasoby wiedzy ludzkiej. Dla mnie otwartą była zawsze jedna tylko księga, którą pisała przyroda.

Lecz wracam do mego celu — do owego jelenia w parku zamkowym, on bowiem był pierwszym swego rodu, któregom mógł z bliska i swobodnie badać, podpatrywać jego obyczaje. W cztery miesiące po zupełnem dojrzeniu i stwardnieniu wieńca, poczynał mu spływać otworami podocznymi dosyć obficie otok lepki, barwy blado-żółtej. Dobrze to spotrzegłem, iż po zrzuceniu wieńca sączyć się przestawał, a natomiast w kilka dni potem pojawiała się u kończyn słupców, jakoby kroplista rosa, żółtawa jakaś ciepła substancya, najzupełniej do rzadko zgotowanego karuku podobna, ale gęstsza od otoku jamami

podocznemi sączącego się. Naturalny w myśli mej zrodził się wniosek, iż owe jamy podoczne są kanałem odwodzącym substancyę wytwarzającą rogi, która po zupełnem wytworzeniu się tychże, jako niepotrzebna już do podsycania ich wzrostu, spływa owymi otworami. Szczególną uwagę zwracałem na ową substancyę, w kształcie kroplistej rosy występującą. Łakociami karmiony jeleń dozwalał blisko przystąpić do siebie i przypatrzyć się temu procesowi, ale nigdy dotknąć zwłaszcza w pierwszych dniach, obawiał się zapewne bolu, bo umykał gniewny, i już do niego zbliżyć się nie było można. — Gdy się sączyła owa substancya, dokuczały mu srodze muchy, uwięzłe w niej jak w lepie, wtedy różnych używał sposobów w celu pozbycia się tej dokuczliwej plagi, to spędzał je racicami tylnych badyli, to wycierał o przednie lub o drzewa, często nawet aż w sadzawce szukał ochrony, kiedy ani cień drzew ani gąszcz nie odstraszał natrętnych owadów, wtedy wszedłszy w wodę powyżej kolan, zanurzał głowę po same oczy. Nader słusznie nazwali myśliwi pierwotną formacyę rogu jelenia *(processus pro cornu)* „róża“, kształt jego bowiem wówczas przy samem zetknięciu z słupcami ma niejakie z tym kwiatem podobieństwo. Naprzód tworzy się rodzaj obwódki wokoło brzegów słupców, których część środkowa zupełnie podobna do guza z zaschniętych kropli gęstego kleju utworzonego, toż owa róża nim stwardnieje, miękką jest i galaretowatą, tak jak grzyb smarz, ów pierwszy owoc, jaki wydaje ziemia po ledwie stajałym śniegu. Róże te powstają w skutek ciągłego narastania substancyi, która widoczną jest, jak długo choćby najmniejszy otworek znajduje się w wnętrzu jej kielicha, lecz gdy listki albo raczej części tej kostnej róży zetknięciem się z sobą czyli zrośnięciem pokryją całą powierzchnię słupca, który podobnym jest do drewnianego, okrągło utoczonego u jednego końca szpiczastego słupka, gdy powierzchnię wystającego nad czaszką słupca całkowicie pokryje róża czyli zaleje, tak jak to się dzieje na równo uciętym pieńku z wszczepionym zrazem jabłoniowym lub gruszowym, a róża mocno przylega do powierzchni słupca, i tem przytwierdza róg powoli od dołu ku górze; wówczas nie wychodzi już przedtem kroplami po brzegach osiadająca substancya na powierzchnię, lecz wnika wewnątrz, porami słupca podchodząc w górę, i wytwarza wzrost, czyli raczej narost rogu. Ciecz ta wraz z zetknięciem się z powietrzem atmosferycznem krzepnie, nabierając powoli twardości stali. Dosyć spojrzeć na powierzchnię jeleniego rogu, ażeby utwierdzić się w przekonaniu, że utworzył się on w skutek narastania. Owe tak zwane „perełki“ czyli chropawe drobne guzy pokrywające cały róg jelenia są tylko ową substancyą pod wpływem światła i powietrza w twardą kość przeistoczoną. Owa substancya jest zarodem rogu jeleniowego w stanie płynnym, a jakie jej składowe części, niechaj badają chemicy. Moje doświadczenie polegało na tem, iż zebrałem trochę otoku, uchodzącego podocznymi otworami „Kaplami“, i położyłem na żelazie do czerwoności rozgrzanem, wtedy woń jego podobną była zupełnie do woni spalonego rogu jeleniego. Jako dowód słuszności mego twierdzenia, iż róg jeleni powstał z owej płynnej substancyi, po zrzuceniu wieńca na powierzchnię słupca się wydobywającej, lub gdy rogi zupełnie uformowane, uchodzącej jamami podocznemi, niechaj służą słowa Dombrowskiego, wyrzeczone w dziele: *Das Edelwild*: „W XV i XVI stóleciu spożywano na stołach książęcych rogi jelenie, a to w porze, kiedy narastały i były miękkie, wtedy sporządzano z nich różne potrawy podówczas należące do poszukiwanych łakoci. W naszych czasach niektórzy lekarze samouki wytwarzają z dojrzałych nawet, twardych rogów jelenich, silnem wygotowaniem, mianowicie w parze, rodzaj galarety jako skuteczny środek leczniczy na konsumcyę. W aptekach używają rogu jeleniego w rozmaitych przypadłościach chorobliwych“. Słowa te wzmacniają moje przekonanie, iż gdy twardy róg jeleni może przejść przez wygotowanie w stan płynny, pierwotnie musiał być takim, t. j. sokiem organicznym, właściwym tylko samcom. Badałem głowy jelenie obojej płci, i otwory podoczne, Kaple rogaczy. Kanałem wzdłuż kości nosowej bez łączności jednak z samym organem powonienia przechodzi płyn w stronę dolnego końca słupców. Przewód ten w pewnej rozciągłości jest tylko jeden, dosięgnąwszy zaś miejsca równoległego z jamami ocznemi, rozdziela się na kilka drobniejszych przewodów, łączących się bezpośrednio ze słupcem, owym zbiornikiem soków do wytworzenia się rogów niezbędnych. Może za rozwlekle a jednak nie dosyć jasno rozszerzyłem się nad tym przedmiotem, brak mi anatomicznych wiadomości, nie jest jednak moją rzeczą nauczać, lecz raczej zwrócić uwagę tych, którzy głębszem badaniem rzeczy zająć się będą chcieli i umieli. Dodać mi tu jeszcze należy, że wszystkie zwierzęta pustorożne, nie zrzucając rogów, nie posiadają też owych otworów podocznych, kaplów, przyroda bowiem nie tworzy nic bez celu i pożytku. Zarzut, iż łanie nie mające rogów, posiadają mimo tego otwory podoczne, usunę zapewnieniem, że owe kaple u łań o wiele mniej są rozwinięte, jak u rogaczy, podobnie jak znamiona żeńskości brodawki czyli sutki znajdują się także w stanie nierozwiniętym u wszelkiego rodzaju zwierząt samców. Wspomniałem wyżej, iż rzeczą chemików jest zbadać składniki roga jeleniego, ja tylko nadmienić mogę, że według mego zdania rogi jeleni i sarn nie mają sobie podobnych w całym świecie zwierzęcym, nawet szerść jelenia zupełnie jest inną jak reszty zwierząt roślinno-żernych, których włos ma te same składniki, jak rogów, racic lub kopyt, a więc rogowy. Owłosienie jeleniego korpusu, z wyjątkiem niektórych jego części jak szyi wraz z grzywą w czasie rui u krasnych rogaczy, podbrzusza wraz z kosmykiem białym przed rują, ciemniejszym podczas i po rui, których składniki są rogowe, — z tych samych co i rogi składa się części, czego dowodem jest jego kruchość i barwa. Toż futro jelenie lub sarnie nader mały daje pożytek, nadaje się chyba tapicerom do wypychania niem materaców i poduszek, a baby wiejskie lekarki używają tego włosa jako lekarstwa przeciw silnemu nieżytowi. posypując nim żarzące węgle i każąc wciągać nosem ów smród nieprzyjemny. Rogów używano rozmaicie, jakto już wyżej nadmieniłem, wspomnieć tu jeszcze należy o proszku z utartego jeleniego rogu, służącego niegdyś prababkom naszym, warzącym kawę w imbrykach, do rychłego oczyszczenia wywaru, czyli oddzielenia mętów od płynu. Przyczynia się to do rozwiązania zagadki, z jakich właściwie części składa się róg jeleni, podobny bowiem z niego pożytek, jak z białka jaj ptasich lub „zelatyny“ czyli karuku rybiego, używanych do klarowania wina. Proszek z rogu jeleniego wsypany do gorącej kawy, rozpływał się w niej zupełnie, dowód to, że pierwotnie był płynem.

Pod względem uzębienia jeleń niczem się nie różni od reszty przeżuwaczów. Co do kształtu dwóch po każdej stronie górnej szczęki znajdujących się zębów brzeżnych, za którymi ciągnie się szereg zębów trzonowych, wyróżnia się od spółplemieńców. Brzeżne te zęby okrągłe, tępe, niższe od trzonowych, barwy ciemno-kasztanowatej, mają tylko rogacze jelenie, i wyrastają po skończeniu lat trzech życia, czyli po dojściu do zupełnej dojrzałości. Im starszy rogacz, tem mniejsze owe zęby zapewne w skutek ścierania, barwa zaś staje się coraz ciemniejsza. U krasnego rogacza zęby te pokryte dziąsłami za-

ledwo jako niewielki punkcik się pojawiają. Owe zęby były dawniej w Niemczech według twierdzenia Dombrowskiego w wielkiej cenie u łowców, na mocy prawa myśliwskiego były one własnością tego, kto położył rogacza. Oczyszczone i wygładzone oprawiano je jakoby kamień drogi w złoto lub srebro do zapinek i pierścieni, a nieco drastycznie dodaje autor dzieła: „Das Edelwild“: „W dawnych, dobrych czasach zwykł był młody łowiec nie rycząc straszliwie jak jeleń rozkochany, lecz gorące słowa miłości szepcząc w uszko swej zapłonionej bogdanki, wkładać na drobny jej paluszek pierścień zrękowinowy z wprawionym weń zębem krasnego rogacza“. — Z wiekiem zużywają się szczególnie przednie zęby jelenia w skutek ogryzania kory drzew tak, iż u niektórych zaledwie pieńki pozostają, innym zaś wcale wypadają. Pierwsze zdarza się nie tylko u starych, ale nawet i młodych, zawsze z powodu zwyczaju ogryzania kory, mówię zwyczaju, czynią to bowiem nie naglone głodem, tak jak dzieci często chętnie spożywają glinę, wapno, kredę, ołówki itp. Jak u wszystkich przeżuwaczów, tak szczególnie u jeleniów zęby stają się z wiekiem coraz ciemniejsze, w końcu nawet czarne. Dombrowski twierdzi, iż dzieje się to głównie w skutek spożywania kory drzew, mającej w sobie wiele garbniku. Podobno to twierdzenie nie dostateczne. Inny jest jeszcze powód. Jeleń wraz z innemi tego rodzaju zwierzętami, nie ma wcale żółci, owego płynu ułatwiającego trawienie, tem większą zaś natomiast ilość kwasu żołądkowego (pepsyn), zawartego w gruczołkach, pokrywających zewnętrzną ścianę żołądka. Kwas ten wnika w pokarmy, przyczynia się do rychłego ich rozkładu. Smak jego jest ostro gorzki, podczas przeżuwania dostaje się do zębów i wytwarza to ciemne zabarwienie.

Żerowanie w lecie. Jelenie wyjątkowo tylko żyją gromadnie. Pojedyńcze sztuki wyłączają się ze stada, przez jakiś czas samotne pędząc życie, później zaś powracają do stada, boć to pokrewni w bliższym lub dalszym stopniu. Jak już wyżej nadmieniłem, wypłoszone z górskich, lesistych nizin, uszły jelenie w góry, lecz nie na najwyższe, bezdrzewne ich szczyty, nie tam jest miejsce ich stałego pobytu, nie tam ich knieje gniazdowe, na owych bowiem skalistych szczytach nie ma dla nich żeru, którego wiele potrzebują. Z tejto przyczyny podnóża gór, gęstymi porośnięte borami, obrały sobie na siedzibę, lasy to bowiem wysokopienne, gęstą podszyte leszczyną, młodą brzeziną, osiczyną i t. p., a śród nich wiele rzadko porozrzucanych polanek, po łowiecku „halizn“, słońcem ozłoconych, bujną trawą i ziołami porośniętych. Jelenie i sarny zawsze i niezmiennie o pewnej porze wyruszają na żerowisko, tradycyjnie od wieków zachowując ów zwyczaj. Na godzinę przed wschodem słońca wychodzi zwolna krocząc całe stadko na bliższe lub odleglejsze halizny, a nawet na uprawne pola, jeżeli one niezbyt blisko od mieszkań ludzkich położone. Najczęściej idzie na czele krasny rogacz, za nim postępują łanie z kicającemi przy boku cielętami, młodzieżą podrosłą płci obojej, jeżeli las rzadszy i nie wysokopienny. W gąszczu lub na wąskiej ścieszce, wijącej się wzdłuż jaru lub głębokiego potoka idą „gęsiego“ jedno za drugiem albo stępo lub kicając, swobodnie, bez obawy, ufne w przezorność swego przewodnika — rogacza, który też gorliwie spełnia swój obowiązek. Płeć piękna bezdzietna i młódź spokojnie postępuje, ale matki wiodące swoją dziatwę trwożliwie rozglądają się wokoło bacząc na każdy ruch rogacza, ażali nie oznajmia jakiego niebezpieczeństwa, bo w takim razie pierwsze pomykają jak najrychlej, i tracąc z trwogi przytomność, nieraz na oślep pędzą w stronę najgroźniejszą. Jelenie szczególnie umieją być posłusznymi rozkazom czy hasłu przewodniczącego, czyni on to bądź ruchem bądź głosem podobnym do chrząknięcia. Gdy wódz stanie, staje cała gromadka jak wryta, strzygąc ruchliwemi łyżkami, a im bliżej brzegu lasu, tem częściej się zatrzymują nasłuchując i chwytając wiatr rozdętemi nozdrzami. Przy samym brzegu lasu staje stado dobrze ukryte w gąszczu, rogacz powoli wysuwa głowę z krzaka i rozpatruje się, gdy nie ma niebezpieczeństwa, wyskakuje jednym susem na polankę, a na to hasło z obu stron wybiega w skokach całe stado, i rozpoczyna się żerowanie. Jedne skubią obficie rosą oblane zioła lub trawę, nie zrywając od samej ziemi, jak to czyni bydło, drugie ogryzają krzaki laskowe lub wierzchołki brzozek niskich, czasem uszczknie które gałązkę świerkową, ale u szczytu młody pęd miękki i soczysty, co wszakże służy chyba na deser, bo jako potrawa za mało jest pożywną. W taki sposób żerują zwykle do 9tej przed południem, dopóki nie spędzą ich z żerowiska mocno dogrzewające promienie słoneczne i chmury krwi chciwych much i bąków. Wtedy poczynają się pocieszne hece. Nie mając ogonów czemżeż mogą opędzić się srodze trapiącym owadom, chyba głową, przednimi lub tylnymi badylami, tarciem nozdrzy o ziemię lub drapaniem racicami. Toż wszystko to czynią w najkomiczniejszy sposób, ale głodne żerują jednak walcząc z temi przeszkodami cierpliwie, w końcu jednak wyczerpują się zasoby tej cnoty, naraz jakby na komendę mknie całe stado w najgęstsze miejsce, i tam pozbywa się owych skrzydlatych pasożytów, a wkrótce oblęga, każde z osobna układając się w cieniu drzew, dobrze wiedząc, że z wyjątkiem komarów wszelkie krwiożercze owady chłodu i cienia nie znoszą. Takie poranne żerowanie jeleni widziałem przed laty własnemi oczami, i wiernie je opisałem. Tak zaspokajają głód a zarazem i pragnienie spożywając żer obficie oblany rosą, a gdy jej nie ma czasem nawet śród lata np. przed deszczem, wcześnie z wiosną lub w późnej jesieni; spieszą do potoków, których nie brak w górach, i tam gaszą pragnienie, potem oblęgają nie ruszając się z miejsca chyba popłoszone. Na wtóry żer wychodzą równo z zachodem słońca, gdzie zabawiwszy około godziny, wracają do legowiska, jeśli było bliskie, przybyłe zaś z dala zajmują nowe. W nocy jelenie i sarny nigdy nie żerują, a powód tego łatwy do zrozumienia. Jak już wyżej powiedziałem, nie spasają jelenie trawy przy samej ziemi i bez wyboru. Jeleń skubie to listki ziół, to kwiaty ich, pomija niejedno źdźbło trawy, aby spożyć wybrane. Lubo trochę widzi w nocy, jednak nie tyle wyraźnie, iżby mógł dokładnie rozróżnić tak drobne przedmioty, jak zioła i trawy, robić ich przegląd. Najchętniej więc i najdłużej żeruje latem i jesienią rano, wieczorem zaś krótko, taki to już jego zwyczaj, a wszelkie zboczenie od tej reguły wynika wyjątkowo tylko z jakiejś twardej konieczności. Powrót z żerowiska odbywa się z mniejszą rozwagą i ostrożnością. Nie tylko jelenie, wszystkie zwierzęta skrzydlate i czworonożne syte mniej są trwożliwe, łatwiej dają się podejść. Również bezmiernie głodne tracą zmysł zachowawczy, co często widzieć się zdarza u wilków i lisów, rzucających się na łup bez względu na zagrażające im niebezpieczeństwo. Zwierzęta żywiące się roślinami rzadko znajdują się w tak rozpaczliwem położeniu, chyba śród nader zawalnej zimy. Lato dostarcza im obficie malin, ożyn, borówek czyli czernic, w górach „jaforami“ zwanych, słodko gorzkiej kruszyny, różnorodnych grzybów z wyjątkiem muchomora. Jeleń zjada to wszystko ze smakiem, jadłby nawet owoce, lecz tych nie ma w Bieszczadzie po stronie galicyjskiej, po węgierskiej zaś nie wiele. W galicyjskich podbieszczadzkich wsiach jak Wetlina, Wołosate, Sianki, Dźwiniacz i t. p., lubo leżą nie na szczytach Bieszczadu, lecz u jego stóp, owoców z wyjątkiem

śliw, grusz i jabłoni bardzo mało, nawet kosmopolityczna wierzba, krzewiąca się zwykle choćby w złych warunkach, nie rośnie w górach nawet niższych jak Bieszczad. Po stronie węgierskiej, południowej, gdy w jesieni lasówki, jabłka i gruszki opadną, dają bogate żerowisko jeleniom, żywiącym się też bukwą i żołędzią. Z tej to przyczyny przebywają jelenie tylko chwilowo, nigdy stale, w drzewostanie Bieszczadu jodłowym lub świerkowym, których drzew w galicyjskiej części Bieszczadu stosunkowo mało, a w węgierskiej wcale nie ma, jak znowu po stronie galicyjskiej nie ma dębów, a po węgierskiej jest ich wiele. Dęby nie dają pożywienia, przeciwnie buki, gęsto rozrodzone w Bieszczadzie dają obfity żer w bukwi, nawet podczas bardzo śnieżnej zimy żywią się jelenie ich korą i młodemi gałązkami. Jodła zaś i świerk nie dają żadnego prawie pożywienia, bo gałązki zbyt chude, kora tłusta, żywiczna, a wszelkich tłuszczów zwierzęta roślinożerne, nawet domowe nie znoszą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# KORESPONDENCYE.

Polowanie z chartami. — Z zajęciem niemałem czytałem w „Łowcu“ artykuły dotyczące polowania z chartami p. A. Ubysza i hr. M. Tyszkiewicza, albowiem z wielką dokładnością i na własnem doświadczeniu opartą znajomością rzeczy opisują oni rasy chartów i polowanie z nimi. Jako stary myśliwy, który już zeszedł z pola, jako miłośnik każdego rodzaju polowania, po odbytej kampanii z roku 1831 osiadłszy na roli, z zapałem brałem zawsze udział w łowach, a szczególnie z chartami, gdyż jako dla kawalerzysty rozkoszą było dla mnie siedzieć w siodle i surowego konia zuchwalstwo poskramiać, a uczyć go uległości i posłuszeństwa.

Nie moją rzeczą szeroko rozwodzić się o rasach charcich, bo to już lepiej odemnie uczynili wyżej wymienieni panowie, wspomnę tylko, iż według mego przekonania każda rasa, jeżeli jest czystą i z dobrego wychodzi miotu, może być dobrą, ale starannie baczyć należy, by rasa istotnie była czystą, a protoplasty odznaczali się wielkiemi zaletami. Wcale nie jest rzeczą niezbędną, by chart był duży, długi, na wysokich nogach, niech tylko będzie mocno zbudowany, zwięzły, z wydatną piersią i silnym szerokim krzyżem. Miałem charty duże i ładne, i dowiedziałem się z własnego doświadczenia, że duży chart lubo jest rączy i prędko zająca dochodzi, to jednak przy każdym obrocie zbyt daleko się unosi, i długo musi ścigać, nim chwyci zająca, a gdy, jak np. w Przemyślskiem i Żołkiewskiem laski gęsto są rozsiane, a więc poszczucia krótkie, to często zając uchodzi przed dużym chartem, który potrzebuje dłuższego pola. Mniejsze charty są sprytniejsze i chwytniejsze, a gdy raz dojdą zająca, to go już trzymają w ciągłych obrotach na krótkiem polu, i chwytają go w pojedynkę lub razem. Miałem charteczkę małą, ale silnej budowy, maści siwej, kosmatą, rasy czystej, bo była kundysowatą z niekształtną grubą trąbą. Posiadałem ją przez trzy lata, nazywała się Żmijka, nie było wypadku, żeby co przed nią uciekło czy to w jesieni, czy w zimie, każdego lisa, każdego zająca brała w pojedynkę choćby nawet na ostrem polu, a była tak zoczna, iż nieraz wyrywała mi się z sanek. O wiele prędzej lisa zoczyła, jak ja, i lotem błyskawicy znikała mi z oczów, ledwom zdążył wyjechać na górę, już Żmijka trzymała go w obrotach i wnet wzięła. Nieraz gdy z powodu przeszkód, rowów lub deber nie można było lisa blisko objechać, kiedy w dali myszkował, lub gdy go od lasu trudno było zajechać, brałem Żmijkę na ręce, podnosiłem ją powyżej głowy, i wskazywałem lisa zachęcając głosem: czi, czi, czi, wtedy skoro tylko zwierzę spostrzegła, szarpnęła się, a za nią inne charty, lis jeszcze swobodnie myszkował, gdy go charty na jakie 50 kroków zeszły, przerażony pomknął szparko, a lubo las ledwie o 200 kroków był odległy, nie uszedł śmierci. Żmijka nieodżałowana służyła mi przez trzy lata. Pewnego razu pojechałem do lasu na zrąb, śród pniaków pomknął zając, Żmijka tak rączo porwała się za nim, iż uderzywszy głową o pień na miejscu trupem padła. Srodze byłem tym wypadkiem strapiony. Zwykły to los dobrych i rączych chartów, gałgan podpierający się na ogonie i wożący mydło, późnej dochodzi starości, jeżeli przedtem na gałęzi nie uwiśnie.

Kto chce mieć dobre charty, musi je starannie wychowywać i pielęgnować. Młode charcięta trzeba karmić kaszą owsianą (grucą) ze słodkiem mlekiem, albo kluskami z owsianej mąki, muszą być zawsze na świeżem powietrzu i wiele biegać, a gdy rok życia skończą, można im dawać w jesieni, gdy chłodno, nóżki baranie z dobrze zaparzoną osypką, byle nie były cuchnące, w lecie zaś nie trzeba dawać nóżek baranich, bo wtedy psy łatwo dostają sapki i nosacieją, wtedy najlepiej karmić je rzadko rozrobioną osypką z mlekiem kwaśnem, maślanką lub serwatką, aby chleptały i chłodziły się. Uważać też trzeba, aby charty dobrze się wybiegały, przynajmniej trzy razy na dzień, a w porze letniej należy charty brać za koniem w takie miejsca, gdzie zająca nie ma, jechać drogą, wtedy charty z sobą się bawią, harcują i uganiają szalenie. Charty powinne być wytrenowane, dobrze karmione, najlepszy bowiem chart, gdy zależy pole, staje się niepożytecznym. Najbardziej przestrzegać trzeba, aby charty samopas nie wymykały się w pole, gdy raz tylko wykradną się, złapią zająca i zjedzą, to już wcale nie można wypuszczać ich z psiarni bez jeźdźca lub dojeżdżacza, bo natychmiast uciekają w pole, i same polują, a w braku zająca i barana uduszą. Charty za młodu układane i prowadzone na smyczy przy koniu, trzymają się go zawsze, a w skutek łagodnego obchodzenia się z nimi, przywiązują się do konia i człowieka. Niektórzy myśliwi przywiązują chartom ciężkie kłódki do szyi, iżby nie mogły iść w pole, szkodliwe to bardzo, bo osłabia krzyże i nogi, a chart dobry musi być muszkularny i silny. Twierdzą myśliwi, że charciarze wyniszczają zające, że gdzie są charty, tam zajęcy nie ma. Mylne to mniemanie, charciarz racyonalny nie poluje dla pieczeni zajęczej, lecz tylko dla przyjemności, więc nie tylko nie tępi zwierzyny, ale owszem ochrania ją od drapieżców. Każdego kota dzikiego w polu zchwytają charty niezawodnie, a taki kot pewnie nie łowi myszy, ale poluje na młode zajączki, kuropatwy i przepiórki. Każdy charciarz namiętnie lubi w zimie objeżdżać lisa sankami, bardzo to miłe polowanie, wygodne i niekosztowne, a wytępia ono lisa, owego najgroźniejszego szkodnika i niszczyciela rodu zajęczego. Dobry charciarz nie poluje z chartami na zająca, gdy świeża masa

śniegu się zwali, byłoby to nie polowaniem, ale raczej mordem, bo na głębokim, miękkim śniegu lada kundys zająca chwyci.

Wiadomo myśliwym, jakie szkody lis wyrządza śród zajęcy, przytoczyć tu muszę zdarzenie, jakiego sam doświadczyłem objeżdżając w zimie lisa z chartami na saniach. Wyjechałem dodnia, i gdy już poczęło się rozwidniać, spostrzegłem lisa myszkującego w polu, wziąłem w ręce lejce od parobka, i zacząłem go zwolna objeżdżać od lasu. Podczas gdy się coraz bardziej do niego zbliżałem, siedział sobie lis swobodnie na kicie, jak pies, i wzrokiem mnie prowadził. Zjechałem go tak blisko, iż gdybym był miał strzelbę, niezawodnie byłbym go ubił, może na 40 kroków był odemnie oddalony. Odchylam koc na saniach, i ukazuję chartom lisa, skoczyły szparko, a lis z największą flegmą przypuścił charty blisko do siebie, machnął kitą, i już był w swojej kryjówce, nad którą tak bezpiecznie siedział. Posłałem parobka do domu po siekiery i rydle, sam zaś stanąłem z chartami nad jamą. Gdy nadjechali ludzie, kazałem kopać skrzynię w kierunku rozciągłości jamy, ale dopiero przy trzeciej skrzyni dokopaliśmy się w sążniowej głębokości owego rabusia, w którego kryjówce znalazłem pięć głów starych zajęcy, z których dwie były jeszcze ze słuchami, skoki i mnóstwo kości. Jeden ze śmielszych parobków przycisnął lisa widłami za kark do ziemi i założył mu obróżkę na szyję. Wziąłem go na smycz, a charty, które się bardzo do lisa rwały, kazałem uwiązać na postronku i na sankach pod kocem trzymać. Zabawne to było widowisko, jak lis biegł na smyczy za saniami, naprzód skakał, szarpał się, gryzł smycz, potem położył się, i tak był wleczony za saniami ze sto kroków, w końcu gdy widział, iż to wszystko na nic się nie przyda, i gdy smycz poczęła go dławić, zerwał się, i biegł za sankami jak pies, a kiedy wjechałem do wsi, i psy chłopskie zaczęły go atakować, to lis ze strachu chował się pod sanie, i musiałem go chronić batogiem od napaści. W domu zastałem młodego myśliwego, który dopiero zaczynał polować z chartami prosił mnie o tego lisa w celu zaprawiania młodych chartów, dałem mu go, a że to był lis duży i stary, więc przestrzegałem, aby wraz z młodymi chartami puścił także starego, bo młodym odetnie się i ucieknie. Młody myśliwy sądząc, iż lis znękany nie potrafi dobrze uciekać i bronić się, poszczuł go dwoma młodymi chartami, którym lis raz i drugi odciął się umknął szczęśliwie do lasu, i drwił zapewne z fryca myśliwego, który zkonfundowany przez długi czas unikał mnie ze wstydu. Lis niezawodnie opowie swym towarzyszom, jak groźnej przygody doznał w swem bogatem w ciekawe epizody życiu, a pamiętniki takiego filuta przebiegłego, jak lis, byłyby istotnie bardzo zajmujące i nauczające.

Dobry charciarz polujący dla przyjemności nie dla pieczeni, pewnie mniej w roku uszczuje zajęcy, jak myśliwy ubije strzelbą, wszakżeż czytamy sprawozdania polowań, w których pada 80 do 120 zajęcy, a wieleż to ginie jeszcze pokaleczonych, które się stają gotową pastwą drapieżników. Szkodników lisów ginie od strzelby stosunkowo mało, bo lis przy pierwszem odezwaniu się nagonki umyka do jamy, ja zaś każdego roku w zimie brałem chartami najmniej 20 lisów, a czasem i więcej.

Prócz tych korzyści, jakie daje polowanie z chartami, są jeszcze ważniejsze. Każdy amator charciego polowania przyzna, że do takich łowów niezbędnym warunkiem jest dobry koń i dobry jeździec, a zaprawiony do takiej jazdy charciarz myśliwy, a zarazem gospodarz na roli, z prawdziwą przyjemnością i niemałą korzyścią sam dopatrzy każdej roboty w polu czy w lesie, i dotrze wszędzie, gdzie pieszo lub wózkiem tego uczynić nie zdoła. Nie pojmuję gospodarstwa bez wierzchowca tem bardziej, że dla mnie starego często dwa nie wystarczały. Wiemy niestety z doświadczenia, jak mało można polegać na zastępcach, na ich sumienności i gorliwej pilności, więc nie dziw, że gospodarz na jednym lub dwóch folwarkach, jeżeli sam nie pracuje i nie dogląda, nie osiąga należytych korzyści lub wreszcie rujnuje się i oddaje w końcu majątek swój i swych dzieci w ręce obce, gdybyż przynajmniej w poczciwe i nie wrogie krajowi! Ja z długoletniego doświadczenia wiem, że każdy myśliwy charciarz był pilnym i dobrym gospodarzem!

Dobry charciarz, dzielny jeździec krzepi siły, hartuje ciało, co wszakże nie czyni ujmy w nabywaniu wiedzy naukowej, jeżeli wola jest po temu, a tak zahartowany, jest w każdej chwili gotów na usługi kraju i Ojczyzny, i nie ulęknie się żadnej zapory, żadnego niebezpieczeństwa, któremu nieraz przesadzając rowy i debry, wspinając się po stromych i przepaścistych wyżynach śmiało zajrzał w oczy. Pozwolę sobie w końcu rymem wypowiedzieć moje przekonanie:

Dokąd nie były znane fryzowane głowy,
Młodzież polska ochoczo spieszyła na łowy;
One to ją uczyły, jak dosiadać konia,
Którego na arkanie przywiedziono z błonia,
Jak przytomnie i snadnie ze sztućca uderzyć,
I jak strwożonem okiem przepaści nie mierzyć.
Taka też to młodzież do niewygód wprawna,
Pogromem nieprzyjaciół była dawniej sławna!

*Henryk Kruszewski.*

---

Zdarzenie, o którem tu donoszę, nie zasługiwałoby na umieszczenie go w „Łowcu“, gdyby nie ta okoliczność, że miało miejsce w okolicy, w której od lat 70 łosia w lasach nie widziano. Nie chcąc zbyt czytelnika nudzić, przystępuję odrazu do rzeczy. — Oto w końcu Grudnia zeszłego roku pojawił się łoś w lasach majątku Szepetówka. Zkąd przyszedł nie wiadomo, zdaje się jednak, że albo z lasów rządowych albo z Równego, majątku księcia L. Przez trzy tygodnie przebywał w lasach Szepetowskich, gdzie go straż leśna na każdym kroku śledziła. Dopiero w początku Stycznia zjechał na Wołyń hr. R. P. i postanowił spolować tego rzadkiego gościa. Pierwszego dnia mimo doskonałego otropienia nie powiodło się polowanie, łoś bowiem zaczął żerować, nim na miejscu stanęliśmy. Nazajutrz dopiero, mimo, że z rana prószył dość obficie śnieg, udało się jednemu pobereżnikowi z wielką znajomością rzeczy łosia w niewielkim stosunkowo miocie otropić. Wbrew swemu zwyczajowi łoś nie odrazu ruszył, ale długo w miocie pozostał, po czem uderzył na flankę lewą; tu jeden z leśniczych miejscowych strzałem na 120 kroków zbił go z obranego kierunku, poczem łoś ruszył kulawym sztychem ku głównej linii. Niestety wyszedł między takich strzelców którzy szanując ten piękny okaz fauny polskiej dali mu ujść zupełnie zdrowo, a w liczbie tych i ja miałem nieszczęście się znajdować. Co było powodem naszego chybiania łatwo się dorozumieć. Oto naprzód ogromne wrażenie, które taki kolos robi na nieprzyzwyczajonego do jego widoku myśliwego, a potem nieznajomość ukształtowania jego tułowu. Zapóźno dopiero przekonaliśmy się, że zamiast w cielsko strzelaliśmy w ową potężną grzywę, którą łoś jest opatrzony. Po naszych strzałach łoś przeniósł się, jednego dnia wyżej 30 wiorst ubiegłszy, w lasy sławuckie ze szepetowieckiemi graniczące. Tu go znowu otropiono na drugi zaraz dzień, i tym razem łoś niebaczny wyszedł już nie na uzbrojonych expressami gości, ale na miejscowego leśniczego, który go z pojedynki Lefaucheux celnym

strzałem w komorę powalił. Teraz dopiero nastąpił ogólny żal, pokazało się bowiem, że to młoda dość jeszcze klempa, możeby się była utrzymała w lasach tamtejszych a nawet i potomstwem je obdarzyła! Nim skończę jeszcze tylko słówko dodam o kniei Szepetowieckiej. Zaimponowała mi tam rozmaitość i ilość zwierzyny. W paru tych miotach, któreśmy tam brali, widziano niemal całą faunę polską, uderzała ilość dzików, sarn i jarząbków. Tem więcej to godne uznania i pochwały że niestety w ogóle na Wołyniu knieje są dosyć puste.

*P. S.*

---

Dzik czy wydra? — Wydarzenie myśliwskie zupełnie prawdziwe, choć na bajkę wygląda. W miesięcu Lutym b. r. otropiono w Dziewiętnikach, w powiecie bobreckim stado dzików, i doniesiono o tem mieszkającemu w sąsiedztwie panu Zaj..., wytrawnemu myśliwemu, posiadającemu doskonałe psy na dziki. Pan Z. zawezwał jeszcze dwóch bliskich sąsiadów, z którymi udawszy się do kniei, puścił psy. Te osadziły natychmiast odyńca, który padł od kuli jednego z myśliwych, dwa warchlaki osadzone przez psy skłuto, samura zaś umknęła. Puszczono psy za tropem, które ją wkrótce doszły, i naszczekując z lasu wyprowadziły. Samura naciskana idzie na zamarzniętą rzeczkę, nie mogąc zbyt patrzyć przed siebie, wpada na słabo zamarzniętą płonkę, załamuje się i znika pod lodem. Idący tropem myśliwi znajdują psy naszczekujące nad płonką, ale świni ani śladu. W mniemaniu, że utonęła i prądem wody uniesioną została, sforują psy i odchodzą do domu jednego z myśliwych na obiad. Po kilkugodzinnym wypoczynku, jeden z nich zamierzał powracać do siebie, wychodzi więc z gospodarzem na ganek, zkąd spostrzegają w pewnem oddaleniu grupę włościan skupionych nad rzeczką. Domyślając się, że zapewne znaleziono utopioną samurę, udają się na miejsce, gdzie im chłopi pokazują dzika spacerującego pod lodem, i usiłującego wydostać się przez płonkę. Jeden z myśliwych ustawił się tedy przed płonką, a chłopom polecił drągami uderzać w lód w kierunku otworu. Niebawem też ukazał się dzik w przerębli, i ugodzony kulą padł na miejscu pod lodem, z kąd go sznurami wydobyto. Od czasu pierwszego zamarznięcia rzeczki woda znacznie opadła, więc pomiędzy lodem a wodą było dosyć miejsca, aby świnia trzymając głowę do góry mogła swobodnie oddychać i korytem postępować, szukając wyjścia z pod tej lodowej pokrywy, jakoż odeszła blisko kilometr od miejsca, gdzie się załamała, aż wreszcie znalazłszy pod wsią otwartą przeręblę, usiłowała wydostać się na górę w chwili, kiedy przejeżdżający z lasu chłopi ujrzeli ją, i do zakończenia tej tragikomicznej sytuacyi dopomogli. — Wypadek ten opowiadano mi na miejscu jako sprawdzony przez wiarygodnych naocznych świadków.

*Dr. R.*

# KRONIKA.

Rzeszów w Marcu.

We Wrześniu roku 1880 zawiązało się w Rzeszowie „Towarzystwo myśliwych“, składające się z 25 członków w części miejscowych, w części zamiejscowych, mające na celu pielęgnowanie połączonemi siłami myśliwstwa i przestrzeganie krajowej Ustawy łowieckiej przeciw kłusownictwu. Towarzystwo zadzierżawiło w Grudniu r. z. na lat pięć wszystkie obszary przeważnie gminne w powiecie Rzeszowskim, i utrzymuje w rewirach, które między członków losem podzielone zostały, zaprzysięgłych dozorców, zaopatrzonych w oznaki służbowe. Każdy członek jest w swoim rewirze łowczym, i obowiązany jest urządzić corocznie w swoim rewirze dwa polowania z pogonką, jedno na szarej, drugie na białej stopie, na które wszystkich członków Towarzystwa zaprasza. Koszta pogonki i podwód ponosi Towarzystwo, ubita zaś zwierzyna staje się własnością rewirowego z wyjątkiem zwierząt drapieżnych, które w drodze licytacyi sprzedawane być mają z prawem pierwszeństwa dla strzelca, a uzyskana cena kupna przechodzi do kasy Towarzystwa.

Musiało wprawdzie Towarzystwo złożyć w pierwszym roku kwotę 500 złr. w celu zadzierżawienia obszarów, wynoszących do 30.000 morgów w bliższym obrębie Rzeszowa, by przy licytacyach forsą pieniędzy nie dopuscić do dzierżawy znanych kłusowników, jednakże członkowie założyciele Towarzystwa chętnie przystąpili do składki mając na oku cele Towarzystwa i poprawę zwierzostanu, który w tej okolicy ostatnimi czasy bardzo podupadł. Obok pożytecznego celu mamy także miłą zabawę, oraz żywimy nadzieję, że w kilku latach stan polowania doprowadzimy wspólnemi siłami do pomyślnych rezultatów.

Prezesem Towarzystwa wybrano jednogłośnie Wgo Ignacego Gumińskiego, właściciela dóbr w Zalesiu obok Rzeszowa, Statuta zatwierdzone zostały w Styczniu b. r. przez Wys. c. k. Namiestnictwo.

*Mieczysław Jabłoński.*

*P. R.* Nowe to Towarzystwo myśliwskie, mające na celu podniesienie łowiectwa krajowego i dobra powszechnego, witamy radośnie, życząc mu z całego serca powodzenia. Na poparcie z naszej strony może ono w każdej chwili liczyć. Prosimy o rychłe przysłanie Statutu i sprawozdania z dotychczasowego działania.

---

Towarzystwo rybackie. Członkowie zarządu Towarzystwa rybackiego złożyli 28. lutego b. r. imieniem tego Towarzystwa życzenia Marszałkowi kraju Dwi Zyblikiewiczowi. Przewodniczący Towarzystwa Dr. Nowicki przemówił w następujące słowa:

Dostojny Panie Marszałku! „W imieniu Towarzystwa rybackiego mam zaszczyt z członkami zarządu złożyć Ci dostojny Panie Marszałku, hołd wraz z szczerem życzeniem, aby Bóg błogosławił i użyczył świetnego powodzenia Twym pracom na wysokiem stanowisku kraju i aby te prace przyniosły krajowi powszechnie spodziewany pożytek i chlubę, w szczególności też przyczyniły się do pożądanego podniesienia kultury krajowej, a z tą gospodarstwa rybnego. Sprawa rybacka nie jest Ci, dostojny Panie Marszałku obcą, albowiem poznałeś naocznie wylęg łososiąt i wziąłeś udział w uroczystym akcie zarybienia niemi Wisły u stóp Wawelu; pod Twoją egidą zawiązało się Towarzystwo rybackie, które Cię liczy do swoich członków honorowych, i za Twoją też przyczyną uzyskało ono od Sejmu subwencyą. Rybactwo zapewnia dochody i podnosi dobrobyt, a Towarzystwo rybackie usiłuje właśnie ten stan rzeczy u nas sprowadzić. Działa ono przytem w interesie nie własnym, lecz tylko publicznym, nabrało już z powodu Wisły, Dniestru i Prutu znaczenia międzynarodowego, a jeżeli jeszcze dla krótkości czasu nie może się wykazać wielkimi wynikami swej pracy, to z drugiej znowu strony praca ta nie jest marną, bo są dowody, że rozpuszczany narybek darzy się, mianowicie przesiedlony węgorz przyjął się w Prucie, a młode łososie wzrastają roskosznie we Wiśle i Skawie. Wobec tego ufamy niezachwianie, że zachowasz nadal, dostojny Panie Marszałku, okazaną życzliwość dla sprawy rybackiej, będziesz ją miał w swej pamięci i możnej opiece, a nadewszystko raczysz ją poprzeć przyczynieniem się do tego. aby Sejm uchwalił oczekiwaną przez cały kraj ustawę rybacką, o co też uniżenie Cię dostojny Panie Marszałku, prosimy“.

W odpowiedzi Marszałek Dr. Zyblikiewicz oświadczył, iż pragnie kraj zwrócić na nowe ekonomiczne tory, oraz że jedynym jego celem jest podniesienie dobrobytu ogólnego, a to przez zbadanie przyczyn materyalnego upadku. Że zaś Towarzystwo rybackie jest jedną z ważnych dźwigni poprawy materyalnej stosunków w kraju, zachowa przeto dla niego jak najlepsze chęci i popierać będzie jego działania. Po okazaniu jednorocznego łososia z Wisły, w prywatnej rozmowie Marszałek podziwiał otrzymane rezultaty, oraz serdecznie dziękował Przewodniczącemu za świetny rozwój Towarzystwa pomimo szczupłości funduszów, jakimi rozporządza.

---

Prośba do myśliwych. — Od wielu lat zajmuję się wychowaniem ryb, cieszę się zawiązaniem Towarzystwa rybackiego w Krakowie, które już tyle tysięcy narybku łososia i innych ryb szlachetnych do rzek wpuściło. Zdrowe to ziarno wrzucone na wdzięczną rolę, ale żniwo nie od towarzyszów rybackich, ale od panów myśliwych zależy. Jeżeli Wy Panowie myśliwi nie będziecie wytępiać nieproszonych rybaków, mianowicie wydry, czaple i t. p., a szczególnie pierwsze radbym polecić waszej pamięci, to my rybacy, mimo pracy i kosztów nie osiągniemy naszego celu, aby ryba była tanim i pożywnym pokarmem dla ludu, będzie ona raczej jak dotąd żerem i igraszką dla wydry. Wszakże wiecie o tem Panowie dobrze, że wydra nie tylko do przesytu karmi się rybą, ale też zwykle jedynie dla igraszki rzuca się nieustannie do wody, i chwytając rybę składa ją martwą w zimie na lodzie, w lecie na lądzie, wyżera z niej czasem wnętrzności, lub tylko głowę rozmiażdży, i przewracając koziołki rzuca się w wodę na dalsze polowanie. Zarzucicie może, że tępiąc ją bezwzględnie, wygubicie tę zwierzynę do szczętu, nie troszczcie się o to, wszak wydra nigdy stale na miejscu nie przebywa, wpływa ona coraz dalej w obce wody, polując ciągle i bawiąc się wybornie, lub przebiega lasy i pola na przestrzeni kilku mil, aby do innej dostać się rzeki lub stawu, gdzie nowe szerzy łupieże. Waszem przeto zadaniem Panowie myśliwi tępić tego srogiego rybaka, wy to możecie nieobliczonych rybactwu krajowemu przysporzyć korzyści. — Głoszą, iż obecnie modne są zarękawki i t. p. dla pań z futerka wydry, niechże wasze żony i córki wynagradzają wasze trudy wdzięcznym uśmiechem strojąc się w owe modne i ładne futerka, a prosimy Was o pospiech, bo moda jest kapryśną, zmieni się, i w Was zapał do prześladowania wydry ostudzi, oby wtedy już owego srogiego rabusia nie było, obyśmy Wam wtedy już mogli przesłać z wdzięcznością szczere: Bóg zapłać!

bar. *H. W.*

---

W lasach miejskich Lwowskich ubito w r. 1880: Lisów 18, zajęcy 193, Rogaczy 11, co do ilości słonek i kuropatw oznaczyć trudno, gdyż każdemu z członków Tow. wolno pojedyńczo polować na zwierzynę lotną.

*Franciszek Ehrlich*, wydziałowy i skarbnik.

---

Starzyska, 14 Marca.

Dla statystyki myśliwskiej poczuwam się do obowiązku podać spis zwierzyny, ubitej w tym roku w tutejszych rewirach. — Nie polowano w większem towarzystwie z powodu braku zajęcy i ubytku sarn, a to, co ubito, padło głównie z ręki mojej lub synów moich. Ubiliśmy: dzików 2, rogaczy 28, sarnę jedną (zabita jednym strzałem razem z rogaczem, chociaż była od niego na trzy kroki oddalona), zajęcy 26, lisów 12.

*E. Weissmann.*

---

Krukienice, 12 Lutego.

Przesyłam sprawozdanie z ubitej zwierzyny. Rok 1880 był dla zwierzostanu niepomyślnym, gorszego nie pamiętam. Okolica nasza chociaż wielka już liczba właścicieli prowadzi od kilku lat racyonalne gospodarstwo łowieckie, nie może się poszczycić bogatym stanem zwierzyny, najwięcej jej może w majątku hr. Stanisława Stadnickiego, gdzie wiele jest dzików, dość sarn, lisów, a zajęcy nawet bardzo dużo jak na ten rok. Najbogatszy stan sarn znalazłem u majora Pawlikowskiego w Brześcianach, na przestrzeni bowiem 600 morgowej naliczyłem do 120 sztuk sarn, która to liczba w tym niepomyślnym roku jest nadzwyczajną. — Na błotach było w tym roku ptactwa bardzo mało, słonek na wiosnę i w jesieni prawie nie widzieliśmy.

W ciągu roku ubito w Krukienicach dzików 5, lisów 4, zajęcy 10, rogaczy 20, słonek 4, kszyków 170, dubeltów 45, kaczek 26, chruścieli 116, przepiórek 45, jastrzębi 25, wron 29, srok 40, psów 10, kotów 15. Razem sztuk 574.

*Jan Ostrzechowski.*

---

Berehy, 12 Lutego.

Dnia 7 Stycznia szedł chłopiec trzynastoletni Tadeusz Kosowski, syn nadzorcy leśnego do domu ze Stebnika, gdzie u leśnego Scieranki nocował. Towarzyszył mu syn owego leśnego ze Stebnika. Idąc przez las spostrzegli na ponowie trop rysia, który widocznie był świeży. Poszli za tym tropem, który wkrótce znikł, więc poczęli się rozpatrywać po drzewach i ujrzeli rysia siedzącego na drzewie po nad swojemi głowami. Chociaż każdy z nich miał strzelbę pojedynkę nabitą śrótem zajęczym, żaden jednak nie miał odwagi strzelić, obawiając się, iżby ryś na którego z nich się nie rzucił, lub postrzelony nie uciekł. Pozostał przeto Tadeusz na straży przy rysiu, a Ścieranka wrócił czemprędzej do domu, aby o tym wypadku dać znać ojcu, znanemu w całej okolicy z pasyi i wytrawności myśliwskiej, który nie jednego już wilka, nie jedną grubą zwierzynę trupem położył. Gdy pozostawiony na straży Tadeusz z odwiedzionym kurkiem śledzi każdy ruch rysia na drzewie, przybył wreszcie w półtory może godziny stary Scieranka, a ujrzawszy tak ogromnego rysia, uczuł drżenie w sercu i ręce. Chłopcom kazał stać w pogotowiu do strzału z naciągniętymi kurkami, a strzelać dopiero wtedy gdy każe, sam zaś długo wymierzywszy palnął, ale niestety chybił, bo ręka mu drżała, i cały drgał z nadmiernej chciwości posiadania tak niezwykłej zdobyczy. Srodze się zawstydził tak haniebnem pudłem, a że ambicya myśliwska nie dozwoliła, aby młodzież celniejszym strzałem jego pudło naprawiła, kazał chłopcom mieć bacznie na oku ciągle siedzącego na drzewie rysia, aż on prawkę nabije, z lewki bowiem nie strzelał zostawiając ją w rezerwie. Wreszcie nabił, wymierzył i strzelił, tym razem szczęśliwiej, bo ryś z wielkim hałasem spadł na ziemię, ale natychmiast zerwał się i począł umykać. Drugi strzał powalił go trupem. — Tenże Scieranka strzelał we 20 dni później na 70 kroków do rysia samicy, i mocno ją postrzelił. Szedł za tropem aż do zmierzchu, wreszcie wrócił do domu mając nadzieję, iż nazajutrz dojdzie zranionego zwierza, ale w nocy śnieg przysypał tropy, i ryś przepadł. — O niedźwiedziu zabitym przez woły dam dokładny opis, gdy bliższych wiadomości o tym wypadku od naocznych świadków zasięgnę. *W.*

---

Z prywatnego listu wyjmujemy kilka szczegółów dotyczących wycieczki myśliwskiej do Cylicyi: Adana 22 Lutego. Przybyliśmy do miejsca, z kąd mamy rozpocząć nasze operacye myśliwskie. Jesteśmy w Adanie, o dwa dni jazdy od morza. Podróż morzem trwała z Konstantynopola cztery dni i nocy, zatrzymaliśmy się w Smyrnie 24, w Rhodos 3 godzin. W Konstantynopolu byliśmy 6 dni, deszcz przeszkadzał, w chwilach pogodniejszych zwidzaliśmy miasto, odmienne od wszystkich na świecie. W Adanie mimo 100,000 ludności dzicz kompletna. Przyjechaliśmy z Mersyny pojazdami, drogą murowaną, tu już wszystko ustaje, w głąb kraju można się dostać tylko wierzchem, towary zaś tylko wielbłądami się transportują. Zaopatrzeni w ferman cesarski i list rekomendacyjny od ministra do gubernatora tutejszego, udaliśmy się do niego. Przyjął nas bardzo uprzejmie, i konferowaliśmy z nim po francuzku długo. Przysłał nam pułkownika od żandarmów, który nam ułatwi expedycyę w głąb kraju, i zabezpieczy ją. Dostarczy nam miejscowych strzelców jako przewodników. Jak długo wyprawa nasza potrwa, trudno dzisiaj powiedzieć. Hotelów tu nie ma, mieszkamy u majętnego kupca Araba, gdzie pokotem spiemy, jadamy wspólnie, potraw mnóstwo, ale jakie? Baranina w małe kawałki krajana, wszystko na łoju. Gościnność niezwykła, o zapłacie ani mowy nie ma. Dziś robimy ładunki. — Trzech z naszego grona wybiegło na polowanie, widzieli 20 antylop, ale nie na strzał. Jutro już zorganizowani wybieramy się na łowy, i mamy nadzieję zabić kilka antylop i frankolinów. Za dwa tygodnie będę w Bajrucie, ztamtąd jadę do Jerozolimy i do Kairo. Dotąd wyprawa pomyślna, wszyscyśmy zdrowi i weseli, czeka nas teraz najtrudniejsza przeprawa, bo będziemy w miejscu, gdzie tylko własnymi prowiantami żywić się będziemy mogli, i sami je sobie przyrządzać. Brak nam dobrych psów legawych.

---

Wróblewo (W. Ks. Pozn.), 14 Marca.

U nas w tym roku stan zwierzyny nie był pomyślny, a polowania odbywały się po części dość rychło, i czas nie sprzyjał, po części deszcze padały. Ja sam w tej zimie nie chciałem polować, jednakże przed świętami Bożego Narodzenia przyjechało do mnie kilku panów, pomiędzy nimi dwóch ks. Radziwiłłów, zagorzałych myśliwych, więc zdecydowałem się knieje przepędzić. Było nas pięciu, dwóch Radziwiłłów, Gorzeński, Ostroróg, Węsierski Józef i ja. Deszcz padał prawie dzień cały, zabiliśmy 8 rogaczy, jednego lisa, 120 zajęcy. Sarny nie dały się gonić, wszystkie wracały na pogonkę. hr. *Kwilecki Zbigniew.*

---

Lewada, w Lutym.

Tego roku nie byłem literalnie na porządnem polowaniu. Błotnego ptactwa prawie nie było, kaczek prawie ani jednej, o kuropatwach słyszałem, że gdzieś do nich strzelano, ale to chyba w Czechach, bo tu żadnej nie widziałem, a o zającach nawet nie wspominam. Jedyna zwierzyna, której była znaczniejsza liczba — to wilki. W skutek nalegań chłopów, którym ogromne szkody robiły, musiałem wcześniej niż zwykle na nie polować, i w początku Września strzelać prawie szczeniaki. Zabiliśmy ich 12, ale tylko dwa stare i to psy, a reszta drobiazg. Prawdziwą przyjemność myśliwską miałem na polowaniu odbytem 28 Stycznia. W małych krzaczkach, gdzie w pięć strzelb z 15 chłopakami miałem strzelać zające, zaskoczyliśmy pięć wilków. Dwa wyszły na mnie, i padły na miejscu, trzy zaś wybrały się na moich towarzyszów, którzy strzelali do wszystkich trzech, ale uszły. Myśliwi usprawiedliwiali pu-

dła śrótem, ale to ich nie tłumaczy, bo ja zawsze strzelam do wilków śrótem. a i dwa świeżo zabite padły od śrótu, a jeden z nich niezwykle wielki pies. — Przed dwoma tygodniami zabiłem lisa z dość dużą białą łysiną, którego natychmiast wysłałem do Muzeum im. Dzieduszyckich przez pocztę, ale zwrócono mi go z dopiskiem: „Derartige Waare per Post nicht zulässig“.

*Stefan hr. Szembek.*

---

Bachorzec, 2 Marca.

Pan Ubysz w swojej zajmującej i gruntownej rozprawie o jeleniu pisze, że puszcza Kampinoska położona w lesistej okolicy województwa Augustowskiego. Otóż tak zwana puszcza Kampinoska leży tuż blisko Warszawy, bo nie dalej, jak o dwie lub trzy mile na lewym brzegu Wisły, w kierunku na zachód, gdzie też i osada Kampinos położona w województwie Mazowieckiem, dziś gubernii Warszawskiej. Tyle co do geografii. Drugi punkt, któremu zniewolony jestem zaprzeczyć, aby podane data sprostować, jest ustęp, w którym p. Ubysz pisze, że w borach między Nidą a Wisłą, słynnych niegdyś mnogością jeleni nikt ich od r. 1809 nie widział, znikły bezpowrotnie Tak źle nie jest, czy są nad Nidą tego nie wiem, ale są nad Wisłą na lewym jej brzegu w lasach Kozienickich, dawniej królewskich, dziś donacyjnych, i w lasach należących do dóbr Magnuszewskich hr. Stanisława Zamoyskiego, w gubernii Radomskiej. Stan jeleni jest tam znaczny i od dawnych czasów tam utrzymujących się. Bliższych szczegółów mógłby udzielić „Łowcowi“ syn właściciela tych lasów hr. Jan Florian Zamoyski, który jako myśliwy nieraz się z tymi jeleniami spotyka.

*Ignacy hr. Krasicki.*

*P. R.* Sprostowanie geograficznego położenia puszczy Kampinoskiej chętnie zatwierdzamy tem bardziej, że w tymże samym artykule o jeleniu raz jest wzmianka o tej puszczy na Mazowszu, drugi raz błędnie w gubernii Augustowskiej. Co do następnych zarzutów po porozumieniu się z p. Ubyszem, wiadomości przez niego podane odwołujemy na podstawie powyższego sprostowania, czyniąc jedynie zapytanie, ażali owe jelenie nie są sprowadzone i chowane? — Radzibyśmy bardzo mieć bliższe o nich wiadomości.

---

W dniu 29 i 31 Stycznia odbyło się polowanie w Wysocku u hr. Stefana Zamoyskiego. Pierwszego dnia polowano w polach, w sposób prawie u nas nieznany a trudny, gdyż zależy ono od prowadzenia naganki, a przytem i ilości tejże, która musi być zastosowaną do przestrzeni przepolować się mającej. Według ułożonego planu rozstawia się myśliwych, a naganka w liczbie przeszło 200 w półkole rozrzucona, rusza na dany znak wprost na strzelców, skrzydła zaś z jednej i drugiej strony, tworzący półkole, posuwają się nader wolno, a w miarę zbliżania się głównej linii styka się z nią i tworzy nieprzerwane koło. Wszelka zwierzyna musi wyjść na myśliwych, żaden zając przez nagankę się nie przedrze. Polowanie prowadził p. Łysakowski, dyrektor lasów hr. Zamoyskiego, który ukończywszy studya leśnicze za granicą, nauczył się tamże tego rodzaju łowów. Jemu też mają zawdzięczyć goście Hrabiego prawdziwą przyjemność, jaką mieli dnia tego, gdyż w siedmiu miotach, w ośm strzelb padło 91 zajęcy i jeden lis. — 31 Stycznia polowaliśmy w kniei w rewirze Korzenickim, i w dziesięciu miotach, w ośm strzelb zabiliśmy 52 zajęcy, 4 lisy i 10 rogaczy. Sarn w każdym miocie widziano mnóstwo, lecz że liczba rogaczy przeznaczonych na wybicie już była dopełniona, więc ich nie strzelano.

*S. O.*

---

## INSERATY.



## OGŁOSZENIA.

☞ Upraszamy o rychłe wpłacenie zaległych wkładek, oraz uwiadamiamy, iż następny numer Łowca jakoteż kartę legitymacyjną tym tylko członkom prześlemy, którzy wkładkę roczną wpłacili.




Redaktor: **Józef Łoziński**. Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.